W numerze: „Aurora" ● Kiedy człowiek poleci na Księżyc? ● Stacja nagłej pomocy ● Historia i sztuka w „Białej Fabryce" ● Czy pszczoły opanują Ziemię? ● List z Warszawy ● Jutro koniec świata ● Recenzje ● Felietony ● Polonica


# odgłosu

Nr 44 (354)
7. XI. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

FELIKS BĄBOL

## Myślenie opłaca się 18-krotnie...

**W tym samym gabinecie, w którym tego dnia zastaliśmy dyrektora Szadkowskiego głęboko zamyślonego nad planami fabryki — przesiadywał kiedyś władca Widzewa i Widzewskiej Manufaktury, Kon. W przeciwieństwie jednak do Kona, dyr. Szadkowski nie studiuje najnowszych prospektów firmy brytyjskiej, dostarczającej maszyn dla Widzewa jeszcze w okresie międzywojennym i jeszcze dawniej — pod koniec XIX w. O przyszłości fabryki zamiast Anglików myślą już od lat inżynierowie i technicy „1 Maja".**

Osiągnęli już np. to, że przemysł elektronowy nie musi sprowadzać za dolary najcieńszej przędzy w świecie, a mianowicie przędzy nr 240, używanej przy produkcji tranzystorów, dzięki czemu rocznie zostaje w kraju 68 tys. dolarów.

Inżynierów, techników, entuzjastów nowej techniki jest tu około 300 — właściwie co szesnasty pracownik „1 Maja" czynnie wspiera postęp techniczny po to, aby 150 fabryk przemysłu bawełnianego i dziewiarskiego w całym kraju mogło otrzymać w terminie przędzę, aby utorować drogę polskiemu eksportowi włókienniczemu. Jakość tkaniny bowiem rodzi się już przy produkcji przędzy bawełnianej, tu — na Widzewie w Zakładach „1 Maja", które są w Polsce największą przędzalnią cienko- i średnioprzędną.

* * *

Oczywiście najłatwiej byłoby budować nowe przędzalnie z nowymi maszynami. Ale kto dziś w świecie może sobie na to pozwolić? Słyszeliśmy o Włochach, którzy wymieniają w przemyśle włókienniczym park maszynowy raz na dwa-trzy lata, dążąc za wszelką cenę do uzyskiwania najwyższej jakości tkanin i najwyższej wydajności. Lokują więc w przemysł olbrzymie kapitały.

* * *

Zanim Konferencja Samorządu Robotniczego zatwierdzi wszystkie plany przebudowy i unowocześnienia, nad wykreślonymi z grubsza planami postępu ślęczy 300 techników i inżynierów. Bo założenia są tego rodzaju, że w istniejących warunkach, bez większych inwestycji i zakupów za granicą, trzeba zapewnić krajowi jeszcze lepszą przędzę, jeszcze jej więcej, niż dotychczas. Czekają na wyniki tego myślenia nawet zwykli klienci naszych sklepów bijący się o dzianinę z anilany, najbardziej obecnie modnego włókna.

Zanim KSR więc to wszystko zatwierdzi, trzeba zobaczyć czy cały plan ma ręce i nogi, czy da to wszystko, na co czeka fabryka, 150 odbiorców krajowych i centrale eksportujące włókno w świat.

Dalszy ciąg na str. 4

WIKTOR WOROSZYLSKI

## JESIENIN

**Jest to jeden z rozdziałów książki o życiu Włodzimierza Majakowskiego.**

**Majakowski i Sergiusz Jesienin.**

**Wcześnie połączyło ich to, co zarazem dzieliło i przeciwstawiało: obydwaj, Jesienin i Majakowski, sięgnęli po rząd dusz w swoim kraju. Była to epoka, w której żyli i inni świetni poeci. Ci dwaj jednak przekraczali ramy poezji i rzucali na szalę całą swą osobowość, całe życie. Wszystko ich różniło: pochodzenie, światopogląd, styl życia i styl twórczości. Urbanista i piewca sielskich krajobrazów; szyderczy burzyciel i poeta sentymentalny; ten, który chciał być głosem rewolucyjnej epoki — i ten, co apelował do tęsknot za światem przemijającym... Negując jeden drugiego, stali się wzajemnie uczestnikami swych biografii.**

**Książka, z której wyjęto poniższy fragment, została w całości skomponowana z materiałów dokumentalnych: wspomnień współczesnych, wypowiedzi własnych Majakowskiego wierszem i prozą, listów, notatek prasowych etc.**

### BORYS PASTERNAK:

Majakowski miał sąsiadów... Na przedrewolucyjnej estradzie rywalem jego był Igor Siewierianin, na arenie rewolucji ludowej i w sercach ludzkich — Sergiusz Jesienin... Od czasów Kolcowa ziemia rosyjska nie wydała nic bardziej rdzennego, naturalnego, stosownego i rodowitego, niż Sergiusz Jesienin, darowując go epoce z bezprzykładną swobodą i nie obciążając daru stupudową ludomańską skrzętnością...

Jesienin potraktował swoje życie jak bajkę... Również i wiersze swoje pisał w sposób bajeczny, to jak z kart rozkładając pasjanse ze słów, to zapisując je krwią serca. Najdrogocenniejsze u niego — to obraz ojczystej przyrody, leśnej, środkowo-rosyjskiej, riazańskiej, oddanej z oszołamiającą świeżością, tak jak odbierał ją w dzieciństwie.

W porównaniu z Jesieninem dar Majakowskiego jest cięższy i brutalniejszy, ale za to, być może, głębszy i obszerniejszy. Miejsce jesieninowskiej przyrody zajmuje u niego labirynt dzisiejszego wielkiego miasta, gdzie zabłądziła i uwikłała się moralnie samotna dusza współczesna, której dramatyczne perypetie, namiętne i nieludzkie, poeta maluje...

### O WKROCZENIU JESIENINA DO SALONÓW LITERACKICH PRZEDWOJENNEGO PETERSBURGA OPOWIADA WASYL KAMIEŃSKI:

Pewnego razu na proszonej kolacji u Fiodora Sologuba, po występie Majakowskiego, gospodarz poprosił o odczytanie swych wierszy jasnowłosego chłopaczka, który ponoć dopiero co przybył ze wsi.

I oto na środek sali wyszedł kędzierzawy wiejski parobczak, podobny do pastuszka z obrazów Nestierowa, w smarowanych dziegciem butach i wzorzyście haftowanej koszuli z pąsowym pasem.

Był to Sergiusz Jesienin.

Śpiewnym, chłopskim głosem wyrecytował kilka krótkich wierszy o polach i brzózkach.

Recytował ładnie, ze skromnym uśmiechem.

A kiedy poproszono o jeszcze, oświadczył:

— Gdzie tam nam, wsiowym, mierzyć się z miastowymi Majakowskimi. Oni i ubranko mają, i trzewiki modne, i głos donośny, a myśmy cisi, pokorni.

— A ty się nie ceregieluj, chłopcze — zahuczał Majakowski — nie ceregieluj, mileńki, to i ty będziesz miał modne trzewiki, pomadę w kieszeni i krawat łokciowy.

Aleksander Błok opowiedział, że widział Jesienina w zeszłym roku u Merežkowskiego, w tym samym stroju i przemawiającego takimi samymi teatralnymi słowami.

W ogóle jednak wszystkim spodobała się malowniczość Jesienina i jego zręczna gra w wiejskiego prostaczka.

I wiersze były piękne, świeże, czułe, jak pierwsza zieleń na łące.

Burluk, przypatrując się Jesieninowi, zapytał:

— A po co pan bywa w salonach?

— A nuż się spodobam — chytrze uśmiechnął się Jesienin — i zrobią ze mnie człowieka.

### MAJAKOWSKI:

Po raz pierwszy ujrzałem go w łapciach i koszuli haftowanej w jakieś krzyżyki... Wiedząc, jak chętnie prawdziwy, nie zaś dekoracyjny włościanin zamienia swoją odzież na kamasze i marynarkę, nie uwierzyłem Jesieninowi. Wydał mi się operetkowy, rekwizytorski. Tym bardziej, że pisał już wiersze, które miały powodzenie, i z pewnością znalazłyby się pieniądze na buty.

Jako człowiek, który w swoim czasie nosił już i przestał nosić żółtą bluzę, rzeczowo poinformowałem się na temat stroju:

— To dla reklamy, czy jak?

Jesienin odpowiedział mi głosem, jakim przemówiłaby zapewne, gdyby ożyła, oliwa w kaganku.

Coś w tym rodzaju:

— Myśmy wsiowi, my tego waszego nie rozumiemy... my już jakoś tam... po naszemu... w rdzennym, zgrzebnym...

Jego pełne talentu i bardzo sielskie wier-

Dalszy ciąg na str. 6

# ze ŚWIATA

*„De Gaulle w coraz większym stopniu przechodzi na pozycje neutralistyczne między Zachodem i Wschodem, na pozycje, których można się obawiać". Tymi słowami zachodnioniemiecki „Neue Rhein-Ruhr Zeitung" ustosunkowuje się do moskiewskiej podróży min. spraw zagranicznych Francji — Couve de Murville. Jak zwykle — podjęcie jakiegokolwiek kontaktu ze Wschodem budzi w Bonn chorobliwy niepokój. Już chyba to wystawia polityce zachodnioniemieckiej jak najgorszą cenzurkę.*

*Wizyta Couve de Murville jest niewątpliwie wydarzeniem. Nie uprzedzając końcowego komunikatu i nie prorokując, w jakim stopniu zarysuje się w nim zbieżność poglądów obu rozmawiających stron na aktualne problemy międzynarodowe — można przecież stwierdzić, że rozmowy nastąpiły w okresie, kiedy stosunki radziecko-francuskie ewoluują w kierunku normalizacji i wzrostu zaufania. Taką płaszczyzną — jak niejednokrotnie to wykazywaliśmy — umożliwia realistyczna polityka de Gaulle'a.*

*Przypuszczalnym tematem rozmów były: europejskie bezpieczeństwo, zaognione punkty świata (Wietnam) oraz możliwość rozszerzenia współpracy w oparciu o status quo.*

*Rozpocząłem jednak od relacji Bonn na podróż francuskiego ministra. Nie bez przyczyny. Właśnie bowiem w NRF ukonstytuowany został nowy gabinet i w najbliższych dniach kanclerz Erhard wygłosi swoje expose. Co będzie osią tego wystąpienia — nietrudno odgadnąć. Już w kilka godzin po sformułowaniu nowego rządu min. obrony von Hassel pośpieszył z zapewnieniem, że w piątej kadencji rządowej Bundeswehra w dalszym ciągu będzie rozbudowywana. Żadna oczywiście rewelacja, po prostu motto działania.*

*Jakże więc Bonn mają nie niepokoić jakiekolwiek kontakty Wschód-Zachód? Przecież w tej atmosferze mogłyby się stopić główne zachodnioniemieckie ideały: udział w zintegrowanej sile nuklearnej, albo też posiadanie własnej „siły odstraszenia". Jeszcze gorzej, że kontakty te podejmuje człowiek „głównego wichrziciela" — gen. de Gaulle'a! Gazety biją więc na alarm i zastanawiają się, czy czasem nie miał racji stary kanclerz, kiedy obawiał się, że pewnego dnia Niemiecka Republika Federalna „może zostać okrążona dyplomatycznie".*

*Takie to zdenerwowanie w Bonn wywołał wyjazd de Murville do Moskwy. A co dopiero by się tam działo, gdyby miała się sprawdzić pogłoska, forsowana przez niektóre agencje zachodnie, o ewentualnej podróży do stolicy ZSRR samego de Gaulle'a?*

*Z zainteresowaniem opinia światowa w dalszym ciągu obserwuje wydarzenia indonezyjskie. Nowym ich elementem było w ostatnich dniach spotkanie prez. Sukarno z przedstawicielami siedmiu partii politycznych. Prezydent zaapelował na nim o spokój i umożliwienie mu przywrócenia status quo ante, przestrzegając jednocześnie, że skłon na prawo „byłby dużo bardziej niebezpieczny niż sam zamach". Sukarno skarcił armię za utrzymywanie atmosfery napięcia w kraju oraz obarczył odpowiedzialnością za powstałą sytuację neokolonializm i imperializm, oświadczając, że „są to siły, które starają się nas opanować".*

*Przemówienie Sukarno odbiło się szerokim echem. Wskazuje ono z jednej strony na to, że prezydent ani na krok nie odstąpił od swej zasady „równowagi" (wyjaśnialem ją w jednym z poprzednich komentarzy), z drugiej zaś — ostre rozbieżności między nim a armią, która — choć zgłosiła swoją lojalność — działa samowolnie i zajmuje w walce o władzę coraz mocniejsze pozycje.*

*Sukarno ma więc nielatwe zadanie. Tym bardziej, że na Jawie rozgorzała prawdziwa wojna domowa. I z pewnością najbliższe dni nie przyniosą jeszcze odpowiedzi na liczne pytania, które niepokoją opinię od 1 października.*

*Z Europy i Azji przenieśmy się do Ameryki Łacińskiej. Główne wydarzenia rozegrały się ostatnio na scenie brazylijskiej.*

*Bez zachowania nawet jakichkolwiek pozorów Castelo Branco rozwiązał wszystkie działające w Brazylii partie polityczne, zapewnił sobie szerokie pełnomocnictwa, uprawniające go do interweniowania w sprawy wszystkich 22 stanów oraz ustanowił formę pośrednich wyborów prezydenckich.*

*Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że w dniu 3 października — w wyborach gubernatorskich — opozycja odniosła duże zwycięstwo. Zastanawialiśmy się wówczas, jak zareaguje na to prez. Branco. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Władza wykonawcza niemal bez reszty przejęła kierownictwo krajem.*

*Jako szczegół nie pozbawiony pikanterii podajmy, że dekrety brazylijskiego rządu, o którym mowa, powzięte zostały w dzień po konsultacjach ambasadora amerykańskiego w Waszyngtonie.*

*Brazylijski zakręt oznacza, że Branco — wbrew wynikom wyborów — poszedł na prawo. Wymierzył on w opozycję, skupiającą się wokół Kubitschka oraz w działaczy Partii Pracy, wymierzył także we wszystkie siły lewicowe. Zapoczątkowany przed 18 miesiącami wojskowym zamachem stanu proces powstawania dyktatury — poważnie się umocnił.*

*Korzeni tego trzeba dopatrywać się w doktrynie Johnsona, w myśl której nie tylko rządy z wyborów, lecz również dyktatury wojskowe, jeśli tylko gwarantują interesy północnoamerykańskie, mogą liczyć na całkowite poparcie Stanów Zjednoczonych.*

*Zachęcony tym Branco wstąpił na scenę. Wydaje się, że może się na niej rozegrać jeszcze nie jedno wydarzenie.*

*W. SŁAWSKI*

# Kronika TYGODNIA

*** Oficjalne źródła amerykańskie nie kryją faktu, iż mimo wyczerpujących walk jakie muszą staczać siły partyzantki ludowej w południowym Wietnamie z przeważającymi liczebnie wojskami amerykańsko - sajgońskimi, liczba partyzantów zaangażowanych w walkę systematycznie wzrasta, zwłaszcza na przestrzeni ostatnich 3—4 miesięcy. Wzrost ten szacowany jest na około 40 tysięcy ludzi.**

* Według danych zachodnioniemieckiego instytutu badania opinii publicznej 49 proc. ankietowanych Niemców uważa za najlepszego przyjaciela Republiki Federalnej Stany Zjednoczone. Francja znalazła się na drugim miejscu z 8 proc. głosów, 3 proc. respondentów wskazało na Austrię, zaś po 2 proc. na W. Brytanię, Szwajcarię i Włochy.

*Nic nie jest dla mężczyzny tak drogie jak to czego wyrzeknie się dla niego kobieta.*

**Vittorio de Sica**

*** Kanada zawarła z ChRL jedną z największych w swej historii transakcję sprzedaży pszenicy o wartości ponad 403 milionów dolarów.**

* Radziecki dziennik „Prawda" zamieszcza ciekawy artykuł na temat wzajemnych powiązań i zależności między produkcją i spożyciem w socjalizmie. Artykuł podkreśla, iż na przestrzeni dziesięcioleci dominował pogląd tłumaczący dysproporcję między produkcją dóbr konsumpcyjnych, a popytem na nie jako warunek szybkiego rozwoju socjalistycznej produkcji, jako prawidłowość. Tym usprawiedliwiano wszystkie braki dóbr konsumpcyjnych. Pogląd ten — pisze autor — uznano w swoim czasie za błędny i odrzucono. Tymczasem jednak pojawiła się nowa, niczym nie uzasadniona teza głosząca, że produkcja powinna wyprzedzać spożycie. Autorzy tej tezy — czytamy w artykule — nie chcieli się liczyć z tym, iż jest praktyczną niemożliwością wyprzedzanie wzrostu potrzeb społeczeństwa.

*** Sąd paryski ukarał grzywną pieniężną dwóch francuskich pisarzy oskarżonych na podstawie ustawy sprzed 84 lat o ochronie głowy państwa przed niesłuszną krytyką i publicznym ośmieszeniem, za obrazę prezydenta de Gaulle'a.**

**Pisarzami tymi są Andre Figueras autor książki pt. „Generał umrze" oraz Laurent autor pracy „Mauriac pod de Gaulle'em".**

* Amerykański tygodnik „Nesweek" opublikował treść rozmowy jaką odbył jeden z zachodnich dyplomatów, którego nazwiska pismo nie ujawnia z prezydentem de Gaulle'em na temat szeregu spraw związanych z francuską polityką zagraniczną. W odniesieniu do NATO i USA generał de Gaulle miał zakwestionować amerykańskie gwarancje dotyczące bezpieczeństwa Europy. „Łatwo im udzielać gwarancji dopóki pozostają po drugiej stronie Atlantyku" — oświadczył de Gaulle. NATO powinno jego zdaniem, zostać zastąpione siatką sojuszów dwustronnych, a hegemonię USA w Europie należy zlikwidować. „Nie spoczne — miał oświadczyć de Gaulle — dopóki ostatni żołnierz amerykański nie opuści kontynentu". Rewelacje amerykańskiego tygodnika zostały zdementowane przez Paryż. Niemniej jednak „Nesweek" opublikował notkę podtrzymującą wiarygodność zrelacjonowanej wersji.

*Konferencje polityczne są często jak karuzela: jeden goni drugiego bez szansy doścignięcia.*

**Malcolm Muggeride — publicysta**

*** Dowództwo interwencyjnych wojsk USA w Wietnamie postanowiło zwiększyć udział artylerii, zwłaszcza ciężkich kalibrów 175 mm i 203 mm, w działaniach wojennych przeciwko siłom ludowym.**

* W Pekinie działa około 4 tys. kobiecych grup samokształceniowych skupiających gospodynie domowe z poszczególnych bloków mieszkalnych. Grupy te zbierają się raz w tygodniu „aby — donosi Agencja Nowych Chin — czytać i omawiać wydarzenia oraz różne artykuły, studiować dzieła Mao Tse-tunga i uważnie śledzić przebieg wydarzeń w Chinach i w innych częściach świata". Dzięki tym studiom — kontynuuje agencja — następuje częstokroć większe zrozumienie wzajemne między mężem i żoną, matką i dorosłymi dziećmi oraz między sąsiadami z różnych zawodów i z różnych środowisk.

*** Ostatnio na łamach prasy czeskiej pojawiło się szereg artykułów poświęconych problemom polityki płac. Przedmiotem ostrej krytyki prasowej jest istniejące w CSRS zjawisko niwelacji płac. Nie ma drugiego takiego państwa na kuli ziemskiej — głosi jeden z artykułów — w którym do tej samej kategorii zaliczono by: kierowcę autobusu i przewodniczącego sądu powiatowego, cieślę i lekarza obwodowego, tokarza i wykładowcę wyższych uczelni. Nie istnieje w ogóle drugi taki kraj, w którym kwalifikacje wpływałyby w tak małym stopniu na wysokość zarobków. Niektóre publikacje postulują potrzebę zajęcia się problemem dysproporcji między stopą życiową rodzin bezdzietnych a rodzin posiadających dzieci. „Rude Pravo" pisze, iż jeśli się nie uprzywilejuje rodzin wielodzietnych ulegnie obniżeniu społeczna i gospodarcza funkcja rodziny.**

**„Host do domu" uważa, że jest niesprawiedliwe, aby młody człowiek zarabiał tyle ile ojciec dwojga dzieci, że jest amoralne, gdy młodzi ludzie tylko dlatego, że nie mają trosk związanych z utrzymaniem rodziny, mogą jeździć za granicę, ubierać się według najnowszej mody itd.**

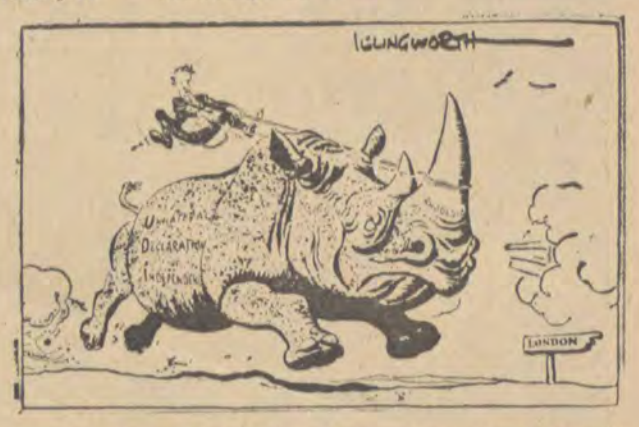


*Premier Smith (Południowa Rodezja) uważa, że panuje nad sytuacją.*

*(Daily Mail)*

*Sukarno na linii strzału.*

*(Die Zeit)*

* Szczerze mówiąc nie wierzę w rozwody i jest to moje najgłębsze przekonanie — pisze słynna gwiazda filmowa Elizabeth Taylor w przygotowanej do druku autobiografii. Tymczasem czytelnicy jednego z kobiecych magazynów w USA mieli możność dowiedzieć się opinii Elizabeth Taylor o jej kolejnych małżonkach. I tak, jeśli chodzi o Nicky Hiltona: „miesiąc miodowy skończył się po dwu tygodniach. Małżeństwo również". Aktor Michael Wilding: — „małżeństwo z nim przypominało raczej pokrewieństwo typu brat — siostra". Elizabeth Taylor owdowiała po kolejnym małżonku Mickee Tood — „wspaniałym małżonku i wspaniałym mężczyźnie", jej następne małżeństwo z Eddie Fischerem — „było oczywistą pomyłką", natomiast aktualny małżonek znalazł u pani Taylor wyrazy uznania: „jego temperament, jego energia są jak huragan".

*** Były prezydent Brazylii Kubitschek uległ atakowi serca. Uważa się, iż choroba Kubitschka jest następstwem nadmiernego zmęczenia spowodowanego prowadzonym przeciw niemu śledztwem. W ciągu 18 dni Kubitschek był przesłuchiwany przez 78 godzin, a kilkakrotnie przesłuchania trwały od południa aż do drugiej nad ranem. Nawet prasa rządowa wyraża oburzenie z powodu metod zastosowanych wobec byłego prezydenta. Nawet ultraprawicowy działacz polityczny, przeciwnik Kubitschka, Lacerda, powiedział publicznie: „To co przechodzi ten człowiek jest po prostu nieludzkie".**

* W CSRS przeprowadzono regulację cen i opłat za energię cieplną i ciepłą wodę pochodzącą ze źródeł przemysłowych. Obecnie ustalone, jednolite opłaty, są przeciętnie o 34 proc. wyższe niż poprzednie, na 1 mieszkanie.

# O WAJDELOTACH i WAJDOFOBACH

Wpływ Andrzeja Wajdy na rozwój życia towarzyskiego w Polsce nie może ulegać najmniejszej wątpliwości. Jest to wpływ tak przemożny, że socjologowie zaczynają już przebąkiwać o nowym podziale społecznym w naszym kraju. Dzielimy się coraz wyraźniej na wajdelotów (zwolennicy Wajdy) i wajdofobów (przeciwnicy). Pierwsi potykają się z drugimi na gruncie naszych socjalistycznych saloników, a więc w klubo-kawiarniach, świetlicach przy zakładowych i domach kultury. O Andrzeju Wajdzie mówi się bez przerwy, to należy do dobrego tonu, każdy z nas musi zająć określone stanowisko, za czy przeciw, wajdelota z niego jest czy wajdofoba, tu nie ma żartów, tu chodzi o ustalenie po kim właściwie jesteśmy spadkobiercami.

Na tle ogólnonarodowego grzebania w „Popiołach" zwraca uwagę kilka charakterystycznych zjawisk towarzyskiej natury. Oto zakwita nam na nowo sztuka epistolarna. Kosze redakcyjne pęcznieją od listów, piszą je raczej wajdeloci, a redaktorzy i owszem, drukują od czasu do czasu bezcenne uwagi o radykaliźmie operatora zdjęć w filmie Wajdy. Wyjątek stanowi może tylko prasa łódzka, ona jedna w niczym nie grzebie, ale to ponoć dlatego, że się szykuje na „Faraona", kiedy to Polacy dzielić się będą na mieczowych kawalerowiczów i egiptologów. Chyba słusznie, warto mieć taką bojową rezerwę.

A więc rozwój sztuki pisania listów! I trzeba przyznać elegancja rośnie. Państwo znają już zapewne wymianę listów pomiędzy „Sztandarem Młodych" a „Stolicą", albo inaczej pomiędzy panami Zbigniewem Załuskim i Andrzejem Jareckim. Drugi tłumaczy pierwszemu, że ten pierwszy pisze o „Popiołach", ale nie był na filmie, a znowu pierwszy twierdzi, że ten drugi chociaż był na filmie, to jednak nie zna wcale historii. Mniejsza zresztą o to, proszę zwrócić uwagę na te zwroty wykwintne, na te zawijasy, na te wyrazy szacunku i szanownych panów. A już się zdawało, że poprzestaniemy na pisaniu listów zaczynających się od słów — donoszę Panie Naczelniku.

Gwałtowny wzrost kultury jest wszakże głębszy niżby to się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Okazuje się, że to nieprawda jakobyśmy byli narodem lekarzy, jesteśmy zdecydowanie narodem historyków. Ten fakt pozwolił nam odkryć właśnie Wajda. Inna rzecz, że na gruncie historii przewagę utrzymują raczej wajdofobi.

Jeden z czołowych wajdofobów redaktor Jerzy Ślaski pisze na łamach WTK: „...walczący w Hiszpanii Polacy prezentują się widzowi w jeszcze gorszym świetle niż rzucić na nich mogła ta istotnie niesprawiedliwa wojna. Po prostu galeria gwałcicieli, pijaków i zbrodniarzy... Dlatego też uzasadnione są obawy tych wszystkich, którzy uważają, że film potężnie zamąci w głowach naszej młodzieży i przyczyni się do nawrotu postawy jaką charakteryzował pogardliwy i cyniczny stosunek do dziejów naszego narodu".

Jak widać od razu u nas nie dyskutuje się drobiazgów, lecz sprawy zasadnicze w rodzaju — Wajda a sprawa polska, a wychowanie po koleń. Czegoś takiego dawnośmy nie mieli. Andrzej Wasilkowski powiada na łamach „Walki Młodych", że po obejrzeniu „Popiołów" poczuł wstyd, ale nie z tego powodu, że jest w końcu spadkobiercą tamtych tragicznych żołnierzy epoki Napoleona, lecz z powodu filmu. Młodzież w niebezpieczeństwie — utrzymują wajdofobi, powinni brać wszak że pod uwagę długość filmu, która stanowi okoliczność łagodzącą, młodzież nie lubi zbyt długo siedzieć kamieniem w jednym miejscu. No, ale lubi oglądać fotosy, na co zwraca uwagę felietonista „Kierunków". Fotosy także deprawują, jeżeli widzimy na nich gustowne trupy hiszpańskich bogu ducha winnych chłopów przeszytych polskimi sztyletami, albo uroczą egzekucję powstańców, której Żeromski nie wymyślił, tylko Wajda.

Inny z wajdofobów — Jan Gerhard pisze na łamach „Polityki", że nasi nie spisywali się tak znowu źle i podaje za przykład sprawę walk Polaków na San Domingo. Jeżeli po dzień dzisiejszy można spotkać pośród ludności murzyńskiej polskie nazwiska, to znaczy, żeśmy na San Domingo nie urządzali rzezi, nie chcieliśmy się bić. I ten fakt potwierdzają raporty francuskich dowódców. Polak woli założyć nową rodzinę niż zabijać.

Nie przypuszczam, aby jedni i drudzy powiedzieli już ostatnie słowo, maluczko a wajdeloci wytoczą ciężkie działa i trwać nam będzie ogólnonarodowa dyskusja jeszcze przez długie miesiące. Oby tylko nie działo się jak dotąd, że najmniej mówimy o postaci najważniejszej. Tłok wokół „Popiołów" jest tak wielki, że Żeromski w żaden sposób nie może się dopchać, a przecież to on dowiódł, że nie przestał być aktualny, przeciwnie, jest może jeszcze bardziej świeży niż kiedykolwiek.

Wiesław Jaworski

WŁ. BORTNOWSKI

# „AURORA"

W miarę tego jak czas oddalał coraz bardziej wydarzenia Wielkiego Października 1917 roku od uczestników i świadków, a zapisywał je w księdze historii, „Aurora" stawała się wyrazistym symbolem, zaś wokół jej udziału w rewolucji narastała legenda.

Dziś krążownik — staruszek zamieniony na muzeum stoi przycumowany do wybrzeża Newy w pobliżu mostu Wolności. Przez cały rok tłumy turystów zwiedzają statek. Lecz kiedy nadchodzi rocznica wydarzeń październikowych, wówczas leningradczycy okupują swoją ukochaną pamiątkę. Tłumy rodziców z dziećmi, dziadków z wnuczkami, zakochanych parek i samotników tworzą kolejkę, wyczekują godzinami by dostać się na „Aurorę" i na jej pokładzie zbliżyć się do owych dni, które wstrząsnęły światem.

* * *

Wówczas, gdy masy rosyjskie przeżywały zawód rewolucji, która zrzuciła cara, lecz nie dała ani upragnionej ziemi chłopom, ani pokoju milionom rezerwistów, krążownik „Aurora", wchodzący w skład floty bałtyckiej, został skierowany dla remontu do Petrogrodu.

„Rewolucyjny" Rząd Tymczasowy coraz bardziej tracił kredyt zaufania.

W okresie owych zapowiadających burzę dni załoga „Aurory" nie pozostawała bierną. Rada marynarska utrzymywała ścisły związek z Radą Piotrogrodzką. Radiostacja krążownika przekazywała dyrektywy i zarządzenia bolszewików oraz Rady Piotrogrodzkiej do baz floty bałtyckiej w Helsingforsie i Kronsztadcie. Oficerowie statku nie mogli się więc sprzeciwiać działalności rady marynarskiej. Starali się więc zachować pozory „sprawowania władzy", nie wchodząc w zatargi z marynarzami.

Otwarcie II Zjazdu Rad w Petrogrodzie (początkowo planowano otwarcie na 22 października (3 listopada) ze względów organizacyjnych przesunięto na 25 października (6 listopada) miało stać się hasłem do ogólnego powstania i zgniecenia rządu — marionetki.

Tymczasem w nocy z 23 na 24 październ ika w szkołach podchorążych (junkrów) zarządzono pogotowie bojowe. Krążownik „Aurora" z jednolicie bolszewicką załogą (pomijając oficerów) otrzymał rozkaz opuszczenia portu i wypłynięcia na morze. Marynarze odmówili wykonania rozkazu do czasu porozumienia się z Radą Piotrogrodzką.

Odpowiedź ze Smolnego była krótka: „Pozostać na miejscu. Na wypadek zaatakowania garnizonu wystąpić przeciw kontr rewolucjonistom". (rozkaz nr 1218).

Marynarze gotowi byli w każdej chwili zejść na ląd i stać się piechotą, a artylerzyści zaatakować każdy wskazany im punkt oporu kontrrewolucji.

W ciągu dnia 24 października radiostacja „Aurory" rozsyłała depesze do jednostek floty z zawiadomieniem, że kontrrewolucja przeszła do natarcia. Nakazano rewolucyjnym garnizonom wokół Petrogradu, by zatrzymywały eszelony z wojskiem wysyłanym z frontu do dyspozycji Kiereńskiego. Wezwano także marynarzy z Helsingforsu i Wyborga, by w pełnym uzbrojeniu przybywali do stolicy.

Tymczasem junkrzy i kozacy rozpoczęli podnoszenie mostów, by zerwać łączność dzielnic robotniczych ze śródmieściem.

Komitet Wojenno - Rewolucyjny wysłał więc rozkaz na „Aurorę": „Nie dopuścić do podnoszenia mostów. Przywrócić ruch na moście Mikołajewskim".

Komendant krążownika usiłował nie dopuścić, do wykonania tego zarządzenia. Został jednakże aresztowany wraz z oficerami, a okręt podpłynął do mostu. Zanim marynarze zeszli z pokładu po junkrach nie pozostało śladu. Most został z powrotem opuszczony. Załoga „Aurory" wystawiła posterunki przy moście Mikołajewskim, a potem przy moście Pałacowym. Rada marynarzy czekała na dalsze rozkazy.

Decydujące chwile miały nastąpić nazajutrz (25 października). W dzień przybyły szturmowe oddziały marynarzy z Helsingforsu, Kronsztadtu i Wyborga. Na Newę wpłynęły okręty wojenne. Rząd zabarykadował się w Pałacu Zimowym i po ucieczce Kiereńskiego wciąż czekał na odsiecz z frontu.

Z czysto wojskowego punktu widzenia można postawić Komitetowi Wojskowemu zarzut, że działał zbyt wolno. Przewaga sił rewolucji była miażdżąca. Ale i Podwojskiego i Antonowa—Owsiejenkę, i Świerdłowa w Smolnym niepokoiły myśli: jak zająć siedzibę rządu redukując ofiary w ludziach do minimum. Jak ocalić od zniszczenia bezcenny zbiór dzieł sztuki, jakim był Pałac Zimowy. Te względy opóźniły moment szturmu.

Pałac był otoczony ze wszystkich stron. Sygnałem do równoczesnego szturmu wszystkich oddziałów miał stać się wystrzał ślepym ładunkiem z „Aurory".

Zgodnie z rozkazem marynarze „Aurory" czekali aż na twierdzy Petropawłowskiej zabłyśnie czerwona latarnia, by z kolei dać sygnał Grupy szturmowe zeszły na ląd, by wziąć udział w natarciu.

Lecz w decydującym momencie zabrakło owej latarni. Trzeba było wysyłać łącznika, a zarazem ściągnąć z „Aurory" artylerzystów do obsługi dział w twierdzy. Strzelanina pod pałacem wzmagała się.

Lecz wreszcie zabrzmiał upragniony strzał — sygnał. Natarcie ruszyło ze wszystkich stron. Do pałacu przedarł się Czudnowski (chciał, by rząd wydał rozkaz zaprzestania walki) i kilku marynarzy.

W trakcie walki oddano kilkanaście strzałów działowych. Tylko dwa trafiły w dach i górną kondygnację Pałacu Zimowego, wyrządzając niewielkie szkody. Dziś niepodobna ustalić jakimi względami kierowali się marynarze „Aurory" obsługujący działa w Twierdzy Petropawłowskiej. Strzał na wprost przez Newę nie wymagał wielkiego kunsztu, a przecież byli oni dobrymi artylerzystami. Pozostaje jedno wytłumaczenie — nie chcieli niszczyć pałacu.

Gdy odłamek pocisku przyniesiono ministrowi, admirałowi Werderewskiemu określił go jako pocisk z „Aurory". Lecz z krążownika strzelano ślepymi nabojami. Tak twierdził Flerewski, tak twierdził na II Zjeździe delegat Rady „Aurory". A może po prostu mylił się członek ostatniego rosyjskiego rządu klas posiadających.

Wśród pierwszych grup szturmowych, które wdarły się do Pałacu Zimowego nie zabrakło marynarzy „Aurory". Widzimy ich potem na frontach wojny domowej i w walce z kontrrewolucyjnym buntem w Kronsztadcie, gdzie walczyli w szeregach piechoty.

W latach 1941 — 1943 armaty „Aurory" znalazły się znowu na bojowych stanowiskach. Wymontowane ze statku broniły Leningradu przed hordami Hitlera.

Bez przesady więc można powiedzieć, że „Aurora" walczyła w obronie interesów mas ludowych Rosji od 1917 roku po rok 1943. 26 lat czynnej służby wojskowej, zanim została pomnikiem — muzeum.

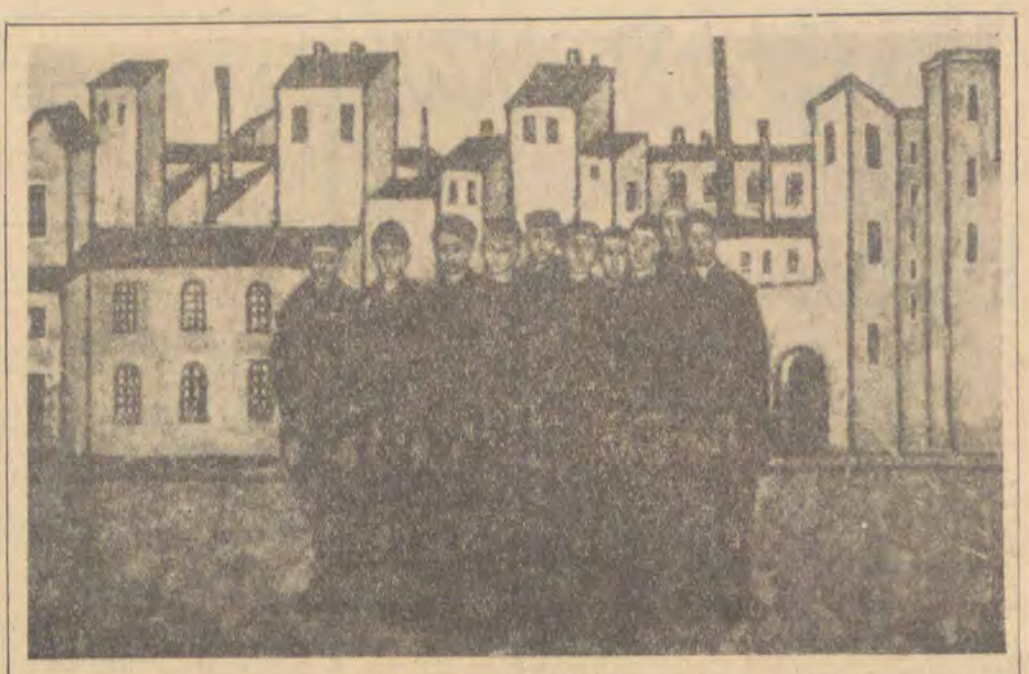

*Z Wystawy Czterech. Wiesław Garboliński — Robotnicy. (Olej).*

# KIEDY CZŁOWIEK POLECI NA KSIĘŻYC?

**Nowe trudności i powikłania programów opanowania Księżyca, postawiły ten problem w centrum zainteresowania opinii publicznej. Oto co na ten temat mówią radzieccy astronauci:**

**PAWEŁ BIELIAJEW:** Eksperymenty, o których mówimy, są niebywale złożone i w zasadniczym stopniu o ich powodzeniu decydują prace przygotowawcze prowadzone na Ziemi. Dotyczy to urządzeń technicznych, ale również i sprawności załogi. My, Rosjanie, często trawestujemy słynne powiedzenie Suworowa: „Im trudniejsze treningi, tym łatwiejszy lot kosmiczny". Jest to tym ważniejsze, że eksperyment, który nas czeka — połączenie dwóch pojazdów kosmicznych na orbicie, zależy w większym stopniu, niż cokolwiek do tej pory uczyniono, od sprawności pilotów. Wysłanie statku kosmicznego na orbitę to zadanie, nad którym czuwa ogromny zespół ludzi i urządzeń technicznych. Natomiast ów manewr zbliżający dwa pojazdy kosmiczne — to już musi być dzieło kosmonauty. I wszystko będzie zależało od jego mistrzostwa.

**ALEKSIEJ LEONOW:** Odległość między obu pojazdami pilot-kosmonauta będzie musiał ocenić z precyzją zegarmistrzowską. A przecież stanie się to w przestrzeni pozbawionej jakichkolwiek obiektów, mogących służyć za punkty orientacyjne. Nic więc nie może pomóc pilotowi w ocenie odległości. Na Ziemi przywykliśmy oceniać ją przez porównanie z otaczającym nas światem. Takiego porównania w kosmosie uczynić nie sposób. I to stawia pilotowi-kosmonaucie wymagania zupełnie niezwykłe. Musi on wyrobić sobie nowy zmysł: kojarzyć szybkość kosmicznej podróży z pokonywaną przestrzenią. To niebywale trudne zadanie.

**PAWEŁ BIELIAJEW:** Inne ogromne trudności to montaż platformy kosmicznej, która będzie służyć jako tzw. stacja pośrednia w podróżach na inne planety. Będzie ona budowana, czy raczej montowana, z części, wprowadzonych na orbitę stopniowo, przez wiele rakiet.

**ALEKSIEJ LEONOW:** Oczywiście, byłoby najlepiej dysponować tak potężną rakietą, która by jednorazowo wyniosła całą platformę-laboratorium na orbitę. Ale to muzyka przyszłości. Zastanówmy się jakie są nasze obecne możliwości: jedna z naszych rakiet wprowadziła ostatnio 12,2 tony na orbitę. Trzy takie rakiety mogłyby więc unieść 36 ton — a to już byłby ogromny kosmiczny dom.

**PAWEŁ BIELIAJEW:** Ale to tylko jeden aspekt tego zagadnienia: bo przecież chodzi nie tylko o wagę wprowadzanych na orbitę elementów konstrukcyjnych, ale i o ich objętość, kształt, rozmiar. I tu wynikają wciąż nowe i nowe trudności techniczne.

**ALEKSIEJ LEONOW:** Wreszcie przedsięwzięcie komplikują jeszcze względy fizjologiczne: trening pozwala człowiekowi dobrze znosić nawet długotrwałe loty kosmiczne: wykazały to loty Bykowskiego, Coopera, Conrada. Ale co nastąpi, gdy loty te będą się jeszcze przedłużać. Jak na to zareaguje ludzki organizm? Medycyna nie może na razie odpowiedzieć na to pytanie. Na razie wiemy tylko, że organizm na stan długotrwałej nieważkości reaguje prędzej czy później atrofią.

Wydaje nam się, iż środkiem zaradczym będzie tu specjalna aparatura tworząca warunki sztucznej grawitacji. A także — nazwijmy to — sport kosmiczny: ćwiczenia, może i mechaniczne, obciążające dodatkowo muskulaturę.

**PAWEŁ BIELIAJEW:** Oto ile czynników musi się złożyć na sukces samej tylko załogi: kondycja fizyczna, znakomite przystosowanie treningowe, opanowanie techniki, wybitna wiedza fachowa w zakresie ogólnej problematyki kosmicznej.

**ALEKSIEJ LEONOW:** Wszystko co myśl ludzka osiągnęła — największe sukcesy techniki — oto środowisko przyszłych lotów kosmicznych. Najwyższe kwalifikacje, różnorodność zawodów, szeroki wachlarz specjalizacji, chyba w tym gronie nie zabraknie i dziennikarzy.

**PAWEŁ BIELIAJEW:** A mówiąc już o niedalekiej przyszłości: wydaje się, że oba statki kosmiczne, które połączy się w kosmosie, będą miały swoje załogi. Następny etap: montaż stacji kosmicznej. No i wreszcie lądowanie na Księżycu.W zasadzie problemy tzw. „miękkiego lądowania" mamy już opracowane: oczywiście, inaczej sprawa wygląda, gdy w statku pilot skontroluje przebieg miękkiego lądowania. Komarow tak lądował, myśmy też przeprowadzili taki właśnie manewr. Jeśli realizują go same urządzenia, sprawa jest trudniejsza: błąd czasowy rzędu 0,1 sek., może już być katastrofalny. A więc człowiek plus automatyka: oto formuła sukcesów kosmicznych.

Rys. P. Picasso

**Obchodzimy te urodziny, a ja — (co za dziwna sytuacja!) — nie bardzo wiem, komu składam życzenia: dwudziestoletniej, uroczej i pełnej młodzieńczego wdzięku Solenizantce — czy też czcigodnej, zasłużonej i wiekowej matronie — instytucji.**

**Mowa oczywiście o Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia i Jej XX-leciu po wyzwoleniu. Ech, łza się kręci w oku, jak ten czas leci! Taki jestem wzruszony — proszę, wybaczcie Państwo, — bo dziewięć lat „żyłem" z wciąż miłą sercu memu Jubilatką i był to okres, który lubię wspominać. Choć więc skończyło się rozwodem (bez ustalenia winnych) jeśli wspominam jednako lirycznie miodowe miesiące i zwykłe szare lata współżycia — widać ile wdzięku i jakie walory posiada nasza Solenizantka.**

**Ale żarty na bok, pomówmy na serio: Rozgłośnia — to żywi ludzie, i o nich trzeba by głośno, hucznie i z entuzjazmem. Może najpierw o seniorach. O wiecznie młodym B(olesławie) B(usiakiewiczu), który potrafi pół Polski zaintrygować zagadką na temat związku między polifonią a dietą odchudzającą Marii Callas. O Ludwiku Szumlewskim — który swe życie poświęcił radio-sportowi (to mój neologizm), ale jeszcze przedtem zasłynął jako organizator transmitowanych „na żywo" nabożeństw. Chcecie państwo trochę poplotkować? Proszę bardzo. Ludwik, by tylko transmisję zmieścić w ściśle przecież określonym czasie, zawsze popędzał czcigodnych prałatów, pociągając Wielebnych raz po raz za skraj komży: „Prędzej, proszę księdza, prędzej, mamy już tylko 3 minuty i 20 sekund!". A dalej: o reżyserze Tadeuszu Markowskim: nieznośnym, dokuczliwym i fenomenalnie zdolnym człowieku, z którym w ogóle nie można spokojnie rozmawiać; z Tadeuszem można się tylko kłócić.**

**Zresztą nie tylko z nim. Inny z radiowych Tadeuszów, redaktor Szewera, nie raz robił ze mną wspólnie audycje. Wtedyśmy się dopiero kłócili, co? Po latach jestem skłonny przypuszczać, iż istniał korzystny związek między temperaturą tych krótkich spięć — a poziomem nazwijmy to — „artystycznym" — audycji. Im więcej było draki, tym audycja na antenę szła bardziej udana.**

**Za to nigdy nikt nie pokłócił się z Tadeuszem Giegierem, żyjącym samotnie, w radiowym celibacie w tej swojej „bani z poezją". Tadzio przez dziewięć lat siedział naprzeciw mnie. Zauważył moje dość hałaśliwe istnienie dopiero w ósmym chyba roku naszej współpracy: oto mi prawdziwy poeta — animo absunt.**

**O raju, znowu gaffa: zacząłem od mężczyzn. Może to forma zemsty, bo przecież nie tylko światem, nie tylko Polską — ale i Rozgłośnią — rządziły (teraz już tam nie pracuję, więc dlatego używam czasu przeszłego) kobiety. Ten matriarchat, bywał to łagodny i zgoła słodki, to znów okrutnie srogi. Koordynowała prace Rozgłośni pani Loda Antonowicz, którą po cichu nazywaliśmy „gienieral-policmajstrem". Ale na antenie zakłóceń i wpadek nie bywało — jak, nie wytykając palcem, co dzień zdarza się to w TV.**

**A nasi technicy-montażyści: nie tylko „tacy" kumple, ale i surowi krytycy. Bywało przychodzisz np. do Staszka Kabaca z nagraniem, które kosztowało Cię tygodnie pracy i mówisz coś w tym rodzaju: „Ale mi wyszedł szlagier! Bomba! Sensacja!" Staszek wysłucha taśmy uważnie, z kamienną twarzą, a potem schodzimy do kawiarenki, gdzie pije się piwo i zagryza kiełbasą na gorąco. Denerwujesz się, czekasz na ocenę, wreszcie pytasz: „No — powiedzże stary, co myślisz o nagraniu?" A Staszek — niby sędzia sądu najwyższego — lapidarnie i nieodwołalnie: „Bardzo długie. I raczej chała!"**

**A wreszcie — kierowcy, z którymi dziennikarz radiowy spędza pół życia: nigdzie nie spotkałem takich kierowców: bo to i dziesiątki lat bez wypadku i śmiało, brawurowo, w piachy, bezdroża, w śniegi lutowych zasp. I zawsze w przyjacielskiej, najmilszej atmosferze. Nie ma takich kierowców jak w LRPR.**

**Tyle o przyjaciołach — ale, słowo honoru, nie po kumotersku. A o programie Rozgłośni: sami go oceniacie, włączając swój odbiornik — jeden z iluś tam set tysięcy głośników w naszym mieście — po to by posłuchać mistrzowskiej orkiestry Henryka Debicha, by uśmiechnąć się przy trochę już staroświeckim muzykowaniu Pana Ciukszy. A potem rozetrzawi Was redaktor Irena Stankiewicz, ustawi politycznie redaktor Zofia Mrożek, wychowa na grzeczne dzieci pani Janina Krzywopiszyna. Jeśli umkniecie z życiem spod kół Wesołego Autobusu, za którego kierownicą siedzi Józek Mozga, jeśli nie ogłuszy Was big-beat Królikowskiego — uwaga! — to i tak grozi Wam jeszcze sto audycji, w tym może (na zasadzie kumoterskiej koegzystencji) i niżej podpisanego.**

**Taki jest ten zespół: znacie go dobrze i Wy, Radiosłuchacze. Więc chyba i w Waszym imieniu mam prawo wręczyć Jubilatce ten nasz skromny bukiecik kwiatów.**

**WACŁAW BILIŃSKI**

# LISTY do REDAKCJI

**Fragment felietonu „W sprawie działania docelowego" (Odgłosy nr 41 z dnia 17. X. 65 r.) świadczy o tym, że cenionemu i szanowanemu publicyście wyraźnie zabrakło tematu, w związku z czym postawił na głowie bardzo ważne dla Kuratorium zagadnienie. Istotnie w br. ukończyło siódmą klasę o 600 absolwentów więcej niż zaplanowano i przyznajemy, że było to dla Kuratorium zaskoczeniem, bowiem na przestrzeni wielu lat wstecz zakładaliśmy wyższy wskaźnik sprawności w klasach siódmych niżeli faktycznie osiągaliśmy. Dla przykładu kilka liczb z lat ubiegłych:**

| Rok | Plan absolw. | Wykonanie planu absolw. | + — |
|---|---|---|---|
| 1961 | 12.000 | 12.045 | + 45 |
| 1962 | 13.100 | 12.701 | — 399 |
| 1963 | 13.050 | 12.915 | — 135 |
| 1964 | 13.700 | 13.190 | — 510 |
| 1965 | 13.900 | 14.549 | + 649 |

**Fakt ten wywołał w Kuratorium szeroką dyskusję nad przyczynami tak gwałtownego wzrostu wskaźnika sprawności nauczania. Doświadczeni pedagodzy i wieloletni pracownicy Kuratorium nie są jeszcze pewni, czy rzeczywiście wzrosły wyniki nauczania, czy też tylko — oceny, a to są dwie różne sprawy. Dla nas jest to zagadnienie otwarte.**

**Niemniej Kuratorium rozwiązało ten problem. Z całą odpowiedzialnością, nie drogą „upychania jak popadło", nad czym tak boleje red. Jaźdżyński.**

**W roku bieżącym władze oświatowe przeprowadziły w szkołach podstawowych szeroką akcję preorientacji. Dano młodzieży szansę zdawania do WYBRANYCH PRZEZ SIEBIE SZKÓŁ w czerwcu, lipcu i sierpniu. Tych, którzy ODPADLI PODCZAS KILKU KOLEJNYCH EGZAMINÓW skierowano oczywiście tam, gdzie były wolne miejsca, szczególnie do szkół przyzakładowych i niektórych zasadniczych szkół zawodowych. Dokonano również rejestracji pozostałej młodzieży, która zdała w kolejnych egzaminach a NIE ZOSTAŁA PRZYJĘTA z braku miejsc. Młodzieży tej było 207, w tym 95 proc. dziewcząt. Większość z nich nie została przyjęta do szkół ogólnokształcących.**

**Kuratorium po poważnej analizie uznało za najsłuszniejsze otworzyć dla tej młodzieży dodatkowo: 2 oddziały w liceach ogólnokształcących i 3 oddziały w technikach ekonomicznych. I tu kolejny żal do red. Jaźdżyńskiego za posądzenie Kuratorium „o upychanie młodzieży jak się da". Nie wiemy, jak sobie wyobraża red. Jaźdżyński KIEROWANIE wszystkich uczniów TYLKO wg zainteresowań.**

**Trzeba by wówczas otworzyć jeszcze kilka techników łączności, chemii, handlu zagranicznego, co musiałoby pociągnąć za sobą konieczność ZAMKNIĘCIA innych, mniej atrakcyjnych szkół, tylko kto po kilku latach odpowiadałby za problem zatrudnienia absolwentów i zabezpieczenia kwalifikowanych kadr dla wszystkich gałęzi gospodarki narodowej.**

**Tak przedstawia się sprawa planowania absolwentów.**

**Łódź pierwsza w kraju dała do dyspozycji 100 proc. młodzieży klas siódmych miejsca w szkole średniej (dla 600 absolwentów więcej niż zaplanowano — również).**

**Łączę wyrazy szacunku**

**Kurator Okręgu Szkolnego m. Łodzi**
**Mgr M. WOŹNIAKOWSKI**

# Myślenie opłaca się 18-krotnie...

## Dalszy ciąg ze str. 1

W dziale postępu technicznego mogliśmy ten plan zobaczyć. Oto jego najważniejsze pozycje. Aby do obecnych 11 mln kg przędzy rocznie można było dorzucić jeszcze kilka milionów, konieczna jest przebudowa zgrzeblarek. **Produkujemy najnowocześniejsze maszyny tego typu i wiele krajów świata kupuje je już od nas niemal, jak się to mówi, z pocałowaniem ręki, ale przecież nie można sobie pozwolić na to, aby na Widzewie wyrzucano jednego dnia na szmelc kilkaset starych zgrzeblarek, a następnego zainstalowano całoroczną produkcję naszych ultranowoczesnych maszyn dających krajowi dewizy.**

Te widzewskie zgrzeblarki zostaną więc unowocześnione własnymi siłami. Obecnie dają one w ciągu godziny 4,5 kg taśmy, po rekonstrukcji będą dawać przeciętnie 18 kg, czyli cztery razy więcej. Jak doniosła to zaś sprawa świadczy fakt, że minister powołał specjalną komisję modernizacyjną, do której weszli oprócz najbardziej zainteresowanych stron — fabryki i zjednoczenia — **również fachowcy z Instytutu Włókiennictwa, Politechniki Łódzkiej, Centralnego Laboratorium Przemysłu Bawełnianego.**

Zamierzenie to jest szczególnie interesujące: przecież po rekonstrukcji pracujących tu zgrzeblarek nie tylko uzyska się większą wydajność, ale i wiele miejsca, które wykorzystane będzie pod nowe maszyny dla przędzalni średnioprzędnej. Spece z działu postępu technicznego szybko obliczyli: na wygospodarowanym miejscu można będzie uruchomić 19 tys. nowych wrzecion niezbędnych dla fabryki. Owe wrzeciona w nowym budynku kosztowałyby gospodarkę narodową około 90 mln zł, a wysiłki podjęte przez fabrykę pozwolą włączyć je do produkcji już za 30 mln.

Opracowuje się też zmianę systemu odbierania runa, co pozwoli zaoszczędzić fabryce około 10 tys. dolarów, maszyny bowiem o takim nowym systemie istnieją już w świecie, ale ich producenci każą sobie za nie słono płacić. Inna komisja, również powołana przez MPL, pracuje nad modernizacją przędzarek. Chociaż głównym terenem doświadczeń i prób są Zakłady im. „Obrońców Pokoju", badania przeprowadzane są i tu, na Widzewie, gdyż chodzi o to, aby dobrych doświadczeń było jak najwięcej.

Wiele ambicji poświęca się w kręgu techników i racjonalizatorów sprawie anilany.

* * *

W Klubie Techniki i Racjonalizacji, czyli jak mówi dyr. Szadkowski, w „kuźni postępu technicznego", ludzie grają w bilard, spotykają się na towarzyskich rozmowach szukają relaksu i ucieczki od spraw, których pełno na każdej zmianie fabrycznej, na każdej sali. Ale klub nie jest ucieczką. Czasem w trakcie gry w bilard majster zaczepi kierownika o to, czy o tamto, i nie wiedzieć kiedy — zamiast relaksu rozwija się dyskusja o maszynach, o ostatnim numerze „Biuletynu".

„Biuletyny" zawiadamiają załogę o aktualnościach technicznych w fabryce, **przedstawiają tematy do rozwiązania** przez tych wszystkich, którym droga racjonalizacja i nowa technika. Oczywiście, że „Biuletyny" nie wystarczają. Między jednym numerem, a drugim wyniknie temat ekstra pilny, wydaje się więc „Express-Informację" zawiadamiającą ludzi myślących o sprawach palących spędzających sen z oczu dyrekcji, głównemu technologowi, czy naczelnemu inżynierowi. Są też i sprawy — węże ciągnące się niemal w nieskończoność, jak dajmy na to sprawa czyszczenia tzw. węzłów szarpacza bez demontażu maszyny.

* * *

**Blisko dwa miliony zł rocznie da fabryce i gospodarce wysiłek myślowy mgr inż. Janusza Planera i jego zespołu, zmieniający w efekcie tzw. zestawy rozciągarek taśm.** Pomysł poszedł do zatwierdzenia do zjednoczenia, ale w fabryce jest już realizowany. Milion zł rocznie przyniesie wniosek **elektryka Zdzisława Rakowskiego,** który usprawnił gospodarkę energią elektryczną odpowiednio instalując kondensatory przy rozdzielniach oddziałowych. Czy tego nie dałoby się zrobić przy pomocy inwestycji? Dałoby się, ale kosztem wielu milionów zł.

**Ślusarz Roman Lipski** kończy obecnie technikum, jest brygadzistą, a wśród „aktywistów postępu" — bo tak nazywają tu ludzi myślących o nowej technice i racjonalizacji — ma już teraz, mimo swych 32 lat, bardzo dobrą opinię. Jego wnioski dotyczą spraw czasem drobnych i pozornie mało znaczących dla ekonomiki, ale przecież co jakiś czas słyszy się o nim, że znowu coś wynalazł... Wymieńmy **Stanisława Karachina** (rurki do pneumofili — temat antyimportowy), wymieńmy **inżynierów i techników pracujących w zespole dyr. Szadkowskiego** — daje on tu dobry przykład zainteresowania techniką — **Michałowicza, Bujacza, Grudzińskiego** i **Kolasę,** a będziemy mieli z grubsza pogląd na sytuację: w tej fabryce działa jakiś żywioł na rzecz postępu.

* * *

Czy tylko dla samej idei? Chyba nie. Raz na kwartał z funduszów na postęp i racjonalizację wypłaca się tu kilkanaście tys. zł jako nagrody dla najlepszych, dla tych, których myślenie o fabryce daje jej najlepsze wyniki gospodarcze. Kierownik działu postępu technicznego dokonał też bardzo ciekawego zestawienia: jedna złotówka wypłacona racjonalizatorom z tytułu premii, czy nagród daje fabryce 18 zł 20 groszy. Jeszcze kilka lat temu ta złotówka równała się dziesięciu złotym — dowód, że ludzie myślący o technice biorą na warsztat tematy coraz ambitniejsze, coraz bardziej przydatne fabryce. Należy też przypuszczać, że żywioł, któremu na imię postęp, pochłaniać będzie coraz szersze kręgi ludzi z „1 Maja". **Wynika to przede wszystkim z coraz wyższego stopnia uświadomienia całej załogi w sprawach produkcji, ekonomii stosowanej w fabryce i techniki.** Na Widzewie zresztą technikę „ożeniono" z ekonomią zupełnie wyraźnie.

— Nie mogę sobie wyobrazić — mówił tego dnia dyr. Szadkowski — aby można było pracować gospodarnie i osiągać dobre wyniki finansowe bez nowoczesnej techniki. Doprowadziliśmy więc do tego, że każdy nasz technik zaczął liczyć. Był kurs nowej technologii, dla naszych ekonomistów, teraz zorganizujemy kurs ekonomiczny dla technologów.

Doszło do tego, że myślą o technice i usprawnieniach nawet kobiety bez tytułów techników i inżynierów — **Elżbieta Daszyńska** z przędzalni średniej, **Aniela Jaguszewska** z czyszczalni odpadków. Do trustu mózgów u „1 Maja" bowiem może należeć każdy chętny.

* * *

Ale samo myślenie bez rozpowszechnienia nic jeszcze nie daje. Taką tezę wygłosił w czasie rozmowy kierownik działu postępu technicznego, **inż. Bujacz** przytaczając zaraz konkretny przykład: wniosek w sprawie poprawienia jakości zwojów (między trzepalnią i zgrzeblarnią) narodził się właściwie w Zakładach „Kunickiego". „1 Maja" przyjął rozwiązanie „Kunickiego", bo to żaden wstyd skorzystać z cudzych pomysłów, ale już wkrótce stwierdził, że na Widzewie może on dać w efekcie nie kilkadziesiąt tysięcy złotych rocznie jak u „Kunickiego", a... 586 tys. 900 zł.

Ta wymiana daje dobre wyniki — Widzew przyjął w ciągu ostatniego roku 43 projekty z zewnątrz, a własnymi rozwiązaniami i udoskonaleniami obdarzył wiele fabryk w Łodzi, Ozorkowie, Andrychowie, Częstochowie, Piotrkowie, Siedlcach... Ożywia się też z każdym rokiem, gdyż wprowadzono rozsądne zasady premiowania: nagrodę otrzymują teraz nie tylko ci, którzy są autorami pomysłu, czy wniosku, ale i ci wszyscy, którzy w innych fabrykach pracują nad ich zastosowaniem na własnym terenie. Między innymi dzięki tym nowym sensownym zasadom na Widzewie w ostatnim roku sama racjonalizacja dała fabryce 16 milionów zł zysku.

**FELIKS BĄBOL**

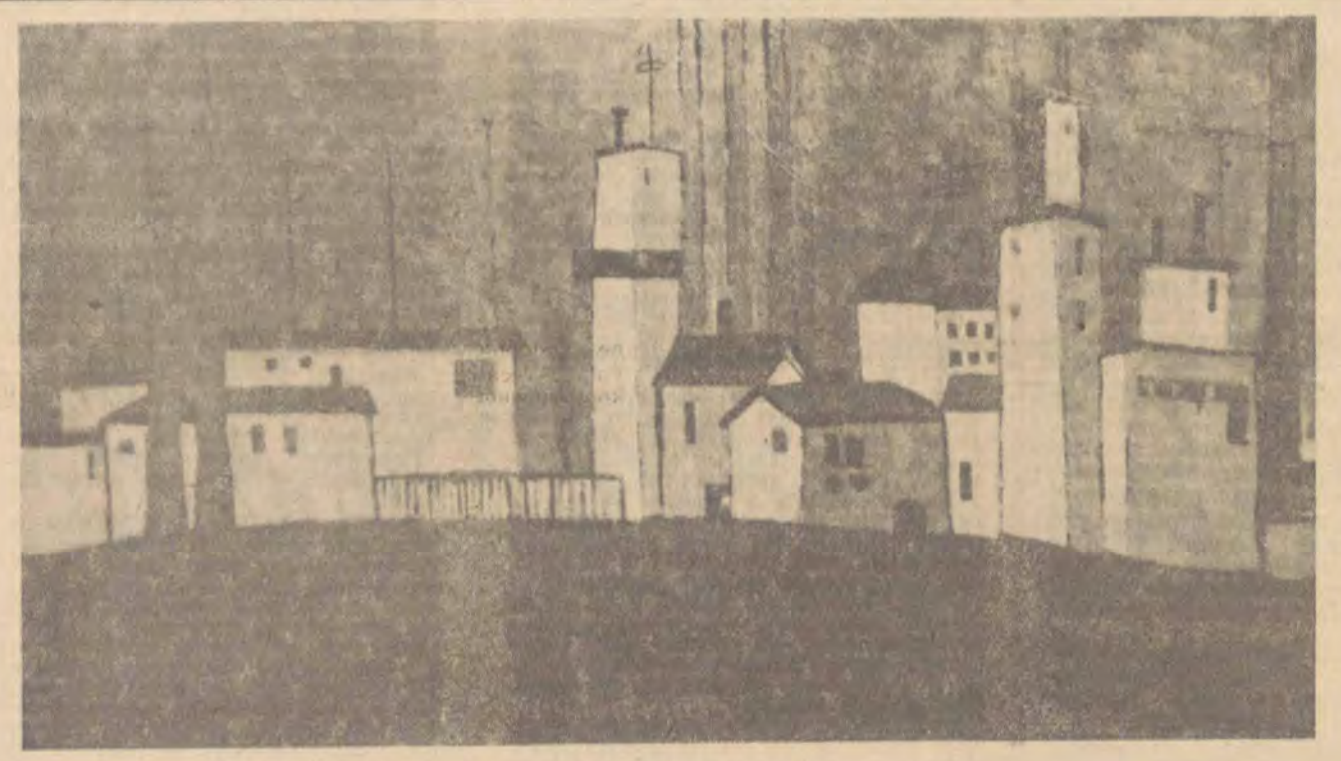

*Z Wystawy Czterech. Krystyna Liberska — Domy (Olej).*

**ANDRZEJ MAKOWIECKI**

# Stacja NAGŁEJ POMOCY

**W czerwcu 1936 roku, Józefowi Pałce — chłopu z podłódzkiej wsi — zachorowała żona. Po południu, kiedy z kobietą było już naprawdę źle — Pałka postanowił wezwać pogotowie.**

**Okazało się jednak, że to sprawa zawikłana...**

**Owszem, miejskie pogotowie z Łodzi wyraziło chęć przyjazdu, ale pod warunkiem, że Pałka złoży przedtem na ręce naczelnika poczty 90 zł kaucji.**

**Była to kwota niemała; zanim chłop ją zdobył — pożyczając pod zastaw pieniądze od sąsiadów — chora straciła przytomność.**

1.

Pewnego sierpniowego dnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku — w wiosce położonej na krańcach łódzkiego powiatu zachorzał nocą pewien rolnik. Ze słów telefonującej żony rolnika wynikało, że do rana nie dociągnie. Popuchły mu ponoć kończyny i dech ustał w piersi, toteż żona uprzejmie prosiła, aby pogotowie przyjechało bez zwłoki.

I przyjechało.

Kiedy lekarz wszedł do chłopskiej izby, chory siedział sobie w łóżku i popijał herbatę.

— Czego wam, człowieku — spytał młody lekarz.

— Już trzeci dzień mi dolega — powiedział spokojnie rolnik i wysunął spod kołdry lewą nogę. Nijak nie mogę zasnąć.

— Drzazga pewnie?

— Pewnikiem, panie doktorze, pewnikiem.

— To nie mogliście iść za dnia na rejon?

— Ej, za dnia tak nie bolało...

Młody lekarz żachnął się ze złości, ale nic więcej nie powiedział. Ani rolnikowi, ani jego żonie, która przed niespełna dwudziestoma minutami tak dramatycznie przedstawiła dyspozytorowi sytuację. Zresztą lekarz wiedział, jaki taka rozmowa może mieć przebieg. Chłop, gdy go zbeształ za nie uzasadnione wezwanie, gotów się odszczeknąć, że płaci i wymaga, że „po to jesteśta aby jechać".

2.

Kontrast przytoczonych wyżej faktów daje podstawy do pewnych uogólnień. Dawniej, jeszcze przed wojną, chłop w obliczu nieszczęścia był bezradny. Jeśli nie miał kilkudziesięciu złotych na tzw. kaucję, gwarantującą lekarzowi godziwą zapłatę, ostatnią instancją, do której mógł się odwołać, były moce niebieskie, zawodzące — jak wiemy z praktyki — bardzo często. Jeśli zaś miał pieniądze, lokować je mógł wyłącznie w kieszenie lekarzy z pogotowia miejskiego, bowiem stacji wojewódzkich i powiatowych owa Polska nie posiadała. — Rzecz zrozumiała, że w takich okolicznościach interwencje następowały z dużym opóźnieniem: raz — ze względu na nadmierne czasem odległości, które pokonać musiały karetki, dwa — ze względu na niewspółmierność liczby wypadków do potencjału ratownictwa.

Ale kontrast przytoczonych wyżej faktów pozwala wysunąć jeszcze inne wnioski. Otóż zmieniła się chłopska mentalność i — moim zdaniem — jest to objaw równie doniosły jak samo powstanie wojewódzkich i powiatowych stacji pogotowia oraz rejonowych ośrodków zdrowia. Chłop nauczył się korzystać z usług medycyny. Chłop idzie dziś na rejon równie chętnie, co mieszczuch do kina. Chłop wzywa lekarza z takim zaufaniem, z jakim kiedyś wzywał księdza. Chłop wyzbył się kompleksów, niejasnych obaw, zabobonnych strachów, a — co najważniejsze — zdobył świadomość należnych mu praw i poczucie własnej wartości.

Aby taka metamorfoza mogła nastąpić, trzeba było nie tylko czasu, nie wyłącznie zmian w zakresie usług medycznych. A więc nie tylko gołv, choć oczywisty, fakt powstania całej sieci profilaktyczno-leczniczej i ratunkowej składa się na zmianę stosunku chłopa do „dochtora", na zdanie — nie najgrzeczniejsze wprawdzie lecz jakże znamienne, jakże bardzo różne od wszystkiego, co w głębokiej pokorze chłop ośmielał się powiedzieć ćwierć wieku temu — na zdanie: „Płacę i wymagam. Jesteśta od tego aby jeździć".

W takim razie — co jeszcze? Co poza tym składa się na tę przemianę?...

Jestem wciąż pod wrażeniem spotkania z rodziną chłopską, zamieszkałą w Wiśniowej Górze. Wezwano nas — to znaczy Powiatowe Pogotowie Ratunkowe z Łodzi — pod pretekstem poważnego skaleczenia ręki i — powiązanego z tym — nadmiernego upływu krwi. Rzecz — wydawałoby się niebłaha, godna ze względu na późną porę (druga w nocy) i brak jakiejkolwiek innej możliwości udzielenia natychmiastowej pomocy. Zresztą, aby od razu postawić sprawę jasno, nadmienię, że pogotowia ratunkowe, a przynajmniej te, z którymi jeździłem, pomocy nie odmawiają nigdy, albo prawie nigdy. Zarówno dyspozytorzy przyjmujący zgłoszenia jak i lekarze — tkwią w słusznym oraz potwierdzonym przez liczne wypadki przeświadczeniu, że tak, jak w wezwaniu może być zapowiedź ataku serca, a w rzeczywistości chodzi o czystą histerię, to na odwrót: czasem wezwanie brzmi niegroźnie, zapowiada lekkie bóle głowy, zaś przy rozpoznaniu choroby wychodzi wstrząs mózgu. Ale wróćmy do Wiśniowej Góry: rana wprawdzie okazała się niegroźna, a upływ krwi minimalny — jednakże na twarzach rodziców rannego malował się niepokój. Ranny, dziewiętnastoletni chłopak, skaleczył się odłamkami szyby i rękę przewiązaną miał bandażem. Na pytanie lekarza, czemu nie poczekali z tym do rana, rodzice odpowiedzieli, że bali się zakażenia.

— No dobrze, ale to jest tylko zadrapanie — powiedział lekarz. — Przecież nie ma tej, jak wy to nazywacie: czerwonej pręgi.

— Pręgi nie ma — zgodził się ojciec chłopaka. — Ale jest gorączka.

Lekarz podumał chwilę, pokręcił sceptycznie głową, mierzył choremu tętno, w końcu wciąż nieprzekonany — sięgnął po termometr. Przez dziesięć minut w izbie panowała cisza. Potem lekarz wyjął termometr i podniósł go do światła.

— Trzydzieści sześć i osiem — powiedział.

Ojciec chłopaka wyciągnął z kieszeni swój termometr co nas przyprawiło o lekki szok, i powtórzył manewr za lekarzem.

# Kapitan Żeglugi Wielkiej

**„Paris Match" zamieścił obszerny fotoreportaż, poświęcony kobiecie-kapitanowi Żeglugi Wielkiej, Danucie Kobylińskiej-Walas. Kapitan Kobylińska-Walas jest, jak wiadomo, dowódcą jednostki handlowej PRL „Wilia". Zdjęcia i tekst z „Paris Match".**

Dokerzy w Rouen ze zdumieniem podnoszą głowy. Sylwetka handlowego okrętu z obcojęzycznym napisem „Wilia" płynnie manewruje i zręcznie dobija do redy. Tego, doprawdy, jeszcze nikt nigdy nie słyszał, pięknie modulowany kobiecy głos rzuca rozkazy. Są jeszcze bardziej zaskoczeni, gdy wchodzą na pokład i na mostku dowódcy widzą kapitana w spódnicy, w pantofelkach na szpilkach. Nazywa się Danuta Kobylińska — Walas, ma 34 lata.

Mając 18 lat przemierzyła już wszystkie morza świata, żeby wreszcie zostać „pierwszym po Bogu". Do Rouen przybywa w randze kapitana. To pierwszy etap jej rejsu.

Danucie śmiano się w nos, gdy mając 14 lat chciała zostać marynarzem. Na holowniku stawiała pierwsze marynarskie kroki. Była bardzo wytrzymała na trudy morskich podróży i przezwano ją „żabą". W r. 1949 jest pierwszym, i jedynym, elewem kobietą Szkoły Morskiej w Szczecinie. Dziś bierze odwet za lata trudów. Lecz dyplom nawigatora Żeglugi Wielkiej nie pozbawił jej praw należnych kobiecie: „Podczas rejsów używam czerwonej szminki do warg" — zwierza się. Każdego ranka, nawet w czasie burzy, nakłada lakier na paznokcie i robi makijaż. Nie przeszkadza to jej we wzorowym wykonywaniu obowiązków dowódcy okrętu. Tylko jeden oficer na pokładzie mówi do kapitana per ty: Wieńczysław, mąż Danuty. Właśnie tutaj, w Rouen obchodzili czternastą rocznicę ślubu.

## Obroty rzeczy

# Czy pszczoły opanują Ziemię?

**Przechodnie na głównej ulicy handlowej Rio de Janeiro byli pewnego wrześniowego dnia świadkami niezwykłej sceny: wartownicy sprzed gmachu głównej kwatery sił zbrojnych Brazylii, tkwiący na stanowiskach karabinów maszynowych, rzucili się do ucieczki bez widocznego powodu. Wkrótce jednak powód okazał się widoczny i dla cywilów; nie tyle zresztą widoczny, co odczuwalny: rój wściekłych pszczół.**

Czy z powodu pomyłki pszczelarza może zginąć taki kraj, jak Brazylia? Pozornie nieprawdopodobne, a jednak wielu ludziom ta wizja, zupełnie jak z Wellesa, wydaje się prawie możliwa. Pszczelarz Warwick Kerr, 8 lat temu sprowadził 20 królowych afrykańskiej odmiany pszczół, która produkuje o 30 proc. więcej miodu, niż zadomowione w Brazylii rasy włoska i niemiecka. Z krzyżówek jednak wynikła niespodzianka, nowe plemię z przyrostem około pół miliona nowych pszczół rocznie, które miast zwiększyć produkcję miodu, rzuciło się na inne roje, włoskie i niemieckie mordując jeden po drugim. W czasie, gdy pszczelarze ciągle liczyli na to, że pszczoły po okresie aklimatyzacji złagodnieją, one tymczasem rozprzestrzeniły się po kraju, zakładając gniazda pod skałami i korzeniami drzew, we wrakach samochodów i budkach telefonicznych, nawet w światłach drogowych. Wśród ich ofiar znalazły się ptaki, psy, świnie, konie oraz czterech ludzi.

Ta historia ma, oczywiście, swój moral. Łapiemy się ciągle na tym, że nasze interwencje w procesy przyrody są co najmniej niedoskonałe, a czasami osiągają skutek wprost odwrotny. Daleko nam do świadomego sterowania: w efektach przypominamy raczej pijanego kierowcę. Prawdziwa bajeczka o pszczołach brazylijskich jest ostrzeżeniem, że istoty przez nas niejako stworzone, mogą obrócić się przeciw nam. I nie potrzeba sięgać koniecznie do przykładu promieniowania lub maszyn myślących. Wystarczy pszczoła.

Mutacje, według genetyki klasycznej, w sposób naturalny tworzą się bezkierunkowo. Chlubimy się, że potrafimy już kierować mutacjami w pożądanym kierunku. Prawda, mutacje kierowane są faktem dokonanym, mogą się okazać dobrodziejstwem. Np. w Centralnym Instytucie Naukowo-Badawczym w Bukareszcie poddano niedawo promieniowaniu jonizującemu nasiona pszenicy, jęczmienia, kukurydzy, fasoli, osiągając w ten sposób odmiany o wysokiej wydajności. Naświetlanie promieniami Beta z fosforu-32 spowodowało u kukurydzy wzrost rozmiarów kolb i ciężaru ziarna. Promienie Beta (z kobaltu-60) zwiększyły zawartość tłuszczu w ziarnie soi. Nie trzeba chyba tłumaczyć, jakie znaczenie ma postęp takich metod. Ale nasza działalność jest często jak bumerang: my wprawiamy ją w ruch, a ona wracając wali nas w łeb. Tak dzieje się wówczas, kiedy człowiek staje się zbyt pyszny i sądzi, że może nie tylko poprawiać naturę, ale działać wbrew niej. Mamy bogate tradycje jeśli chodzi o dewastację naszej planety. Przeczytajcie książkę Ritchie Caldera „Spadkobiercy" w serii Ceramowskiej: dowiecie się z niej, że kiedyś ludzka pycha zmieniła w pustynię urodzajną Mezopotamię, a w moczary ludny Babilon, wydając go na pastwę moskitów. Że przez ludzką pychę Peru, gdzie więcej Indian niż dziś żyło w przymierzu z przyrodą, po zerwaniu tego przymierza przez hiszpańską konkwistę obróciło się w „perzynę; przymierze z przyrodą polegało tu nie tylko na racjonalnej gospodarce, ale i dbałości o fizjologiczny tryb życia człowieka który w państwie Inków pracował nie za dużo i nie za mało, w sam raz; przez pysznych Hiszpanów zaś zmieniony został w bydlę harujące całą dobę. Sahara nawet, powiadają, stała się symbolem pustynności wskutek rabunkowej działalności człowieka. I my, Polacy, nie bez grzechu: Kujawy, którym wycięto las, wyssano wodę przez monokultury buraków i pszenicy, zmieniają się w step; podobnie, jak wiele stanów Ameryki Północnej, gdzie człowiek rozpętał nawet huragany pędzące po ogołoconych płaszczyznach i znoszące urodzajną glebę aż do Kanady w postaci tumanu pylnego. Wiek XX stulecie techniki, przyniósł rekordy działalności niszczycielskiej: zatrute rzeki, pola i sady; powietrze nieczyste i dławiące. Dopuszczalna norma opadów pyłu przemysłowego wynosi 360 ton na 1 km² rocznie, tymczasem, o ile np. Londyn trzyma się w tych granicach, to roczny opad Łodzi sięgał 4.000 ton na km², przeciętna 800 ton.

Tworzymy z naturą obwód zamknięty: Eskimosi nie eksploatowali bomb nuklearnych, ale jedzą renifery. Renifery zaś jedzą chrobotka reniferowego, taki porost; porost ten zaś jest wyjątkowo skażony cezem-137, który ciągle jeszcze opada z chmur radioaktywnych na Arktykę, leżącą między strefami wybuchów.

Cieszy nas każda nowa propozycja nauki, mająca na celu podniesienie wydajności naszej cywilizacji. Ale czasem te wspaniałości niepokoją. Pszczoły pszczołami, a medycy ostrzegają i przed hormonami. Jeden ze specjalistów powiedział, że są one niebezpieczne, jak nitrogliceryna. Małe odchylenie od właściwej dawki testosteronu, miast pomóc kobiecie na zapalenie jajników, spowoduje, że wyrośnie jej broda.

Albo inna wiadomość: w słusznej trosce o zmniejszenie szkodliwości środków chwastobójczych, specjaliści chcą zastąpić trujące substancje chemiczne tzw. herbicydami biologicznymi. Proponuje się m. in. pewne rodzaje chrabąszczy, które zjadają wybiórczo osot, nie tykając pokrewnych ostom karczochów. Choć propozycja bliższa jest naturze, niż środki syntetyczne, któż ma słodką pewność, że się taki chrabąszcz nie rozpanoszy, że nie polubi on żadnych pożytecznych roślin, że nie sięgnie np. zuchwale po buraczki, bez których niżej podpisany nie wyobraża sobie życia (w myśl powiedzonka: zjeść diabła z buraczkami).

No więc, co za wyjście? Czy mamy zrezygnować z takiego rad sposobu, jak interwencja w procesy biologiczne? Nie, skądże. Chodzi tylko o trochę więcej pokory. Pokory i prostoty: na klęczkach sadzić pasy leśne, tam gdzieśmy wytrzebili lasy. Tak, tak, jesteśmy panami wszelkiego stworzenia, tylko czego będziemy panami, jeśli zniszczymy stworzenie? Dlatego bardzo mi trafił do przekonania plan uczonego brytyjskiego, Johna Gullanda: żeby umiędzynarodowić wieloryby, którym grozi rychła zagłada. Wieloryby własnością ONZ — oto hasło dnia. Bo po co nam były potrzebne wieloryby dla zachowania równowagi ekologicznej, dowiemy się dopiero wtedy, kiedy ich już nie będzie.

**BELIAL**

— Tak — przytaknął głową. — Trzydzieści sześć i osiem.

— No więc... gorączki nie ma — powiedział lekarz.

— Jak to — zdenerwował się chłop. — Powinno być trzydzieści sześć i sześć!

Historia — rzec by można — śmieszna. A jednak...

Coś się jednak na prowincji zmieniło. Chłopi poznali nie tylko bandaż i termometr (w nomenklaturze mylą wprawdzie ten ostatni z kroplomierzem lecz żelazna granica trzydziestu sześciu i sześciu stopni Celsjusza utkwiła im w pamięci na trwałe), poznali także cierpki smak kawy (ale zawsze kawy), mdławy czar objazdowego kina (ale zawsze kina) swojską nutę „Wesołego Autobusu" i radiową audycję „W Jezioranach", gdzie kreują role bohaterów. Poznali i wyciągnęli z tego tyle wniosków, co trzeba, więc nie dziwcie się o mieszczuchy, że niektórzy myją zęby. Podczas licznych nocnych interwencji, spotykałem i takich, co sypiają w piżamach. Stwierdzenie, że ludność wiejska awansuje — wiernie odpowiada prawdzie.

Przeto nie wypada się żżymać, że czasami przesadzą, i że z powodu bólu zęba alarmują pogotowie. Oni przecież zrozumieli sedno sprawy: to, że lekarz powinien im służyć; to, że za darmo niczego nie biorą: dają przecież mąkę, a za mąkę chcą penicyliny.

3.

Praca pogotowia ratunkowego — to ciężka praca. Mróz, śnieg, deszcz, -upał, i dwa dzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli spytać dyspozytorów, lekarzy, sanitariuszy i kierowców — czego im najbardziej brak — przed pieniędzmi, wymienią czas. Nic dziwnego. Dyspozytorzy schodzą ze stanowisk co dwanaście godzin, ale może się zdarzyć, że pracują przez okrągłą dobę. Dyżury pozostałych pracowników są krótsze — za to pełne niespodzianek, toteż w praktyce — przy niefortunnym splocie wypadków, o który w tej pracy nietrudno — przedłużyć się mogą do kilkunastu godzin. Ze statystyk Powiatowej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi wynika, że w ciągu roku następuje około ośmiu tysięcy interwencji (dokładnie — średnia ściągnięta z czterech ostatnich lat wynosi 7.973). Wniosek stąd zaskakujący: co dwunasty mieszkaniec powiatu łódzkiego korzysta raz do roku z usług tej Stacji, biorąc zaś pod uwagę częściowy udział w opiece nad powiatem Stacji pabianickiej i zgierskiej, z usług Stacji korzysta co dziesiąty.

Nie wszystkie wypadki ograniczają się do powierzchownego otarcia naskórka lub niewielkiej gorączki. Wprost przeciwnie. Największa ilość interwencji dotyczy katastrof drogowych, ciężkich obrażeń ciała, chorób zakaźnych i powikłań dziecięcych. Na marginesie — troska chłopów o potomstwo jest zdumiewająca. Celują w tym, oczywiście, młode matki, odchodzące od zmysłów w czasie rzeczywistej choroby dziecka, ale gotowe także wzywać pogotowie przy najmniejszym przeczuciu zagrożenia. W raportach lekarzy znajdują się setki opisów nie uzasadnionych wizyt. Czasem chodzi tylko o zastrzyk, czasem o bezsenność niemowlęcia, czasem matka przeczeka godzinę siódmą, aby zamknęli rejonową poradnię usytuowaną obok jej chałupy, przeczeka i wezwie pogotowie z Łodzi, tkwiąc w silnym przekonaniu, że lekarze z miasta poradzą jej lepiej i skuteczniej.

Wszystko to utrudnia pracę pogotowia. To prawda. Lekarze i dyspozytorzy często przeklinają pod nosem sprawców nie uzasadnionych wezwań. Przecież zdarza się, że w tym samym czasie, kiedy na podłódzkich szosach dochodzi do krwawych katastrof, kiedy ciężko ranni ludzie oczekują pomocy i każda sekunda jest droga — karetki pogotowia pędzą na sygnałach do błahych zadrapań, do potłuczonych kolan i rozbolałych nagle zębów. Nie dziwi mnie święte oburzenie pracowników Służby Zdrowia. Ich nalegania, aby zorganizować akcje uświadomienia powiatu, akcje obywatelskiego wychowania, które nauczą chłopów przewidywać konsekwencje fałszywych alarmów — są bez wątpienia godne uwagi. Jeśli do klubo-kawiarni zajrzy raz w miesiącu lekarz lub higienista, z odczytem lub pokazem „praktycznym" — splendoru temu dostojnemu miejscu nie ubędzie.

Z drugiej zaś strony — nie dziwi mnie tak zwana lekkomyślność wiejskiej ludności. Ból jest zawsze bólem, a strach strachem. Z nieistotnych przyczyn wpada w panikę nie tylko chłop. Wpaść w panikę może każdy, bez względu na wiek i profesję. Że chłop wpada zbyt często?...

Bo czasy kiedy w palcach miał czapkę i przestępywał z nogi na nogę już minęły. Nauczony smutnym doświadczeniem — przestał czekać z założonymi rękami do ostatniej sekundy, przestał się łudzić, że choroba przejdzie sama na skutek czarodziejskich zaklęć i życiodajnych ziół. Teraz się śpieszy. Może zanadto. Może często — niepotrzebnie. Ale dobrze, że się śpieszy. Dobrze, że wie już gdzie stukać, kiedy w progi zawita nieszczęście.

STANISŁAW CZERNIK

# O Bronisławie WIECZORKOWSKIM

Czytelnicy przedwojennej „Okolicy Poetów" z lat 1935–1939 znają nazwisko Bronisława Wieczorkowskiego, łódzkiego robotnika z Chojen. Kilkanaście wierszy jego autorstwa stanowiło znaczące „novum" na tle ówczesnej poezji polskiej, jako autentyczna twórczość autentycznego robotnika.

Wprawdzie robotnicza klasa łódzka, w tym czasie szczególnie chłonna w zakresie kultury, wydała już wyróżniających się poetów. Najznakomitszy spośród nich, Marian Piechal, w ten sposób zaznaczył swą genealogiczną łączność z podglebiem robotniczym: „gdybym nie był poetą, byłbym robotnikiem". Bliższy tego podglebia Antoni Kasprowicz, również bardzo emocjonalnie z nim związany, tak samo swoją poezję oparł na rodowodzie i wspomnieniach z młodości. Natomiast Bronisław Wieczorkowski całym swoim życiem dał wyrazisty dowód znamiennej łączności: pracy robotniczej i poetyckiej. W pełni zasługuje na miano robotnika-poety, lub – co oznacza to samo – poety-robotnika.

W kilku zdaniach przedstawię życiorys Wieczorkowskiego. Urodził się na Bałutach w 1895 roku w rodzinie robotniczej, której antenaci, jak u wszystkich prawie starych robotników łódzkich, wywodzili się z warstwy chłopskiej. W czasie pierwszej wojny światowej przez pewien czas pracował w niemieckich fabrykach nad Renem, następnie zaciągnął się do armii gen. Hallera we Francji, a po powrocie do kraju przystąpił do pracy robotniczej. Mam przed sobą świadectwo pracy Wieczorkowskiego, z którego wynika, że przez czterdzieści trzy lata bez przerwy był zatrudniony w fabryce, noszącej dziś nazwę Zakładów Przemysłu Wełnianego im. gen. K. Świerczewskiego, Wólczańska 219. Dokładnie od 21 marca 1921 r. do 31 sierpnia 1964 ostatnio w charakterze brygadzisty stolarni. Przeniesiony został na rentę starczą. „Z pracy mu powierzonej – cytuję opinię Zakładu – wywiązywał się bardzo dobrze. Pracownik zdolny i o wysokich kwalifikacjach zawodowych".

Pół wieku pracy robotniczej wiąże się u Wieczorkowskiego bardzo ściśle z pracą poetycką. Gdy w roku 1915 udawał się na emigrację do Niemiec, zabrał ze sobą, oprócz książki Korzona o Kościuszce, podręcznik stylistyki Piotra Chmielowskiego. Pracował w koksowni i uczył się poezji. O jego upartych trudach wspominałem bliżej w „Okolicy Poetów". W innym miejscu obszerniej omówię jego wysiłki, tutaj chcę tylko nadmienić, że przed wojną, oprócz debiutu w „Okolicy Poetów", ukazały się jego wiersze w „Kamenie" i w czasopiśmie „Wieś – Jej Pieśń".

Po wojnie Wieczorkowski odosobnił się w swym domku własnoręcznie postawionym na Chojnach i pisywał – nocami i w święta – „sobie a Muzom", nie szukając protektorów, unikając redakcji, prawdopodobnie zrażony chłodnym przyjęciem, po prostu nie chciał „zawracać głowy innym ludziom". Pisał do szuflady, jak się to dziś określa. Ale takie pisanie dla siebie przypomina mi staropolskie tradycje naszych poetów baroku z XVII wieku, którzy nie myśląc o druku (a byli to przecież ludzie zamożni, i stać ich było na wydatek) pisali dla własnego zadośćuczynienia. Nie zamierzam, oczywiście, porównywać, ale w ten sposób poezjowali i Jan Andrzej Morsztyn, i Wacław Potocki, i wielu pomniejszych. Tak osobliwa podnieta rządziła również Wieczorkowskim.

Ale ostatecznie – i słusznie – zebrał swoje sylwy rękopiśmienne, swój – mówiąc językiem Wacława Potockiego – „ogród, ale nieplewiony, bróg, ale co snop, to inszego zboża, kram rozlicznego gatunku" – i przyniósł do mnie.

Z tego to ogrodu – brogu – kramu wybrałem kilka wierszy najbardziej określających autora. Można je oceniać – i jako współczesny folklor łódzki, i coś więcej niż folklor. Wybierając, pragnąłem zwrócić uwagę na nowość motywów i osobliwe realia, bezpośrednio oddające autentyzm życia robotniczego.

BRONISŁAW WIECZORKOWSKI

## WIDOK MOJEGO WIERSZA

Okno w skrzywionych ścianach narożnika
Patrzy jakby ktoś udający zeza.
Drzwi, jak wiszący kajak, wiatr odmyka.
Żar słońca sufit już na wylot przeżarł.

I z całej siły w podłogę się wgryza
Izba – u góry, nie na dole szersza.
Komin w niej na kształt zwichrzonego krzyża.
Oto jest cały widok mego wiersza.

## GDY WRACAM Z PRACY

Żona wabi mnie wdziękiem, choć umorusana –
Siedemnasty metr węgla zwozi do komórki.
Nogi bose, jak heban czarne pod kolana,
W fartuchu granatowym przewiązanym sznurkiem.

W uśmiechu, choć zmęczona, pot lśni na jej czole.
Nie słucha, co jej mówię, lecz wskazuje ręką.
Kolacja – rzecze – czeka, już stoi na stole.
Zawsze jest taka sama, jak była panienką.

## KOKSOWNIA

Drewniane sandały palą wciąż, jak zarzewie,
Noc ziskrzona gwiazdami w koło nas obległa.
W pośpiechu wciąż biegamy w tym płomiennym śpiewie
Żelazem twardych nóg po rozpalonych cegłach.

Ognistą lawą z pieców, jakby język smoczy,
Koks żółwiem się wysuwa, w pagórek zamienia.
Księżyc kulą srebrzystą po niebie się toczy,
My, jak żywe pochodnie, stoimy w płomieniach.

## W PRACY

Przede mną kowal bije z całej siły młotem,
W rozpalone żelazo cios za ciosem pada,
Piła z heblarką pędzi z błyskawicznym grzmotem,
Ja stoję przy warsztacie i wiersz swój układam.

Papier zielonoszklisty do ścierania drewna
Treść wiersza mi oddaje ołówkiem stolarskim.
Sala na pierwszym piętrze wkrąg wierzbami śpiewna
Rośnie w niebo i szczytem staje się tatrzańskim.

I z niego patrzę w przestrzeń bliską i daleką,
Czasem za rzekę wśród łąk, i nawet za morza.
Ty jesteś mi poezjo wciąż, jak miód i mleko.
Lub bolesna, jak w sercu tkwiące ostrze noża.

*Z Wystawy Czterech. Halina Strzyż-Garbolińska – Pejzaż łódzki II (Olej).*

# JESIENIN

Dalszy ciąg ze str. 1

sze dla nas, futurystów, były, ma się rozumieć, nie do przyjęcia.

Ale on sam sprawiał wrażenie zabawnego i miłego chłopca.

Wychodząc powiedziałem mu na wszelki wypadek:

– Założę się, że da pan spokój tym wszystkim łapciom i kogucikom!

Jesienin oponował z gorącym przekonaniem. Odciągnął go na bok Klujew, jak mamusia odciągająca namawianą do grzechu córkę, kiedy boi się, że córeczce samej zabraknie sił i chęci, żeby nie ulec.

Jesienin pojawiał się i znikał. Bliżej zetknąłem się z nim już po rewolucji u Gorkiego. Od razu, z całą swoją wrodzoną niedelikatnością, wrzasnąłem:

— Jesienin, wygrałem zakład, ma pan na sobie i marynarkę, i krawat!

**Z LISTU JESIENINA DO ALEKSANDRA SZIRIAJEWCA, CZERWIEC 1917:**

Bóg z nimi, z tymi piterskimi literatami... Toć myśmy, Scytowie... a oni Gallowie, bratku, sami okcydentaliści. Im Ameryka potrzebna, a nam w Żygulach pieśń i ognisko Stieńki Razina.

Tu o „podobaniu się" nie ma mowy, trzeba tylko naciągnąć swoje jak najdłuższe cholewy i do ich stawu jak najgłębiej zabrnąć, i mącić, mącić do tego czasu, aż jak ryby wysuną swoje nosy i dostrzegą ciebie, żeś to „ty"...

Tak, bratku, nasze zbliżenie się z nimi jest niemożliwe... Nie zbliżać się z nimi trzeba, lecz obciosywać niczym jakowąś płaską deskę i wyrzynać na niej wzory, jakich się zapragnie, taki jest i Błoch, i Gorodecki, i wszyscy, imię ich legion... Bardzo to zabawne – ponaigrawać się z nich, zwłaszcza kiedy w lot chwytają twój haczyk, nie bacząc na jego brzęk żelazny...

**ZE WSPOMNIEŃ ERENBURGA:**

Jesienią 1917 roku w Piotrogrodzie zaprosiła mnie do siebie młoda poetka Maria Szkapska, którą znałem z Paryża. Przy stole siedział Klujew; miał na sobie włościańską koszulę i głośno siorbał herbatę ze spodka. Od razu wydał mi się aktorem, po raz tysięczny grającym wystudiowaną rolę. Rozmowa usychała, kiedy zjawił się nowy gość, młody, ładny chłopak, podobny do operowego Lela; z uśmiechem przedstawił się: „Jesienin. Sergiusz. Sierioża..." Miał jasne i naiwne oczy. Maria Michajłowna poprosiła, żeby poczytał wiersze. Zrozumiałem, że mam przed sobą wielkiego poetę; chciałem z nim porozmawiać, ale on pouśmiechał się i wyszedł.

Potem kilkakrotnie spotykaliśmy się w Moskwie: rozmawialiśmy o wierszach, o wydarzeniach. W odróżnieniu od Klujewa, Jesienin zmieniał role..., ale nie grać nie potrafił (czy nie chciał). Często słyszałem, jak spoglądając swymi niebieskimi oczyma, z lekką ironią odpowiadał rozmówcy: „Nie wiem, jak tam u was, a u nas, na Riazańszczyźnie..." W maju 1918 roku mówił mi, że trzeba wszystko zwalić, zmienić budowę wszechświata, że chłopi puszczą czerwonego kura i świat spłonie...

**W TRAKCIE JEDNEGO Z PÓŹNIEJSZYCH SPOTKAŃ, PO PARU LATACH:**

...Jesienin mnie zaskoczył, kiedy zaczął mówić o malarstwie; niedawno oglądał kolekcję Szczukina, zainteresował go Picasso. Okazało się, że czytał w tłumaczeniu Verlaine'a, a nawet Rimbauda... Raptem napadł na Majakowskiego: „Tytus i Własy... Jakie on ma o tym pojęcie? A choćby i miał, co to za poezja?..." Słowa jego nie zdziwiły mnie: niedługo przed tym słuchałem przez cały wieczór w Muzeum Politechnicznym, jak Majakowski i Jesienin wymyślali sobie wzajemnie. Mimo to zapytałem Jesienina dlaczego Majakowski tak go oburza. „On jest poetą po coś, a ja poetą dla czegoś. Sam nie wiem dlaczego... On dożyje osiemdziesiątki, wystawią mu pomnik... A ja zdechnę pod płotem, na którym rozlepiają jego wiersze. A jednak nie zamienię się z nim". Próbowałem oponować. Jesienin był w dobrym humorze i od niechcenia przyznał, że Majakowski jest poetą, tylko „nieciekawym". Wszczął dyskusję z futuryzmem. Sztuka inspiruje życie i nie wolno jej rozpuścić się w życiu... Lud? Alboż mało ludowy był Szekspir, nie gardził budą jarmarczną, a stworzył Hamleta. To nie Tytus i Własy (cytował agitkę Majakowskiego, w której występowali Tytus i Własy). Znowu deklamował Puszkina, mówił: „Napisać choć jeden taki czterowiersz — i nie straszno umierać... A ja na pewno niedługo umrę..."

Po tej długiej rozmowie na Kisłowce zobaczyłem prawdziwego Jesienina. Ilu dało się nabrać! Iwanow-Razumnik, wysłuchawszy jego „Przemienienia", zachwycał się: „Oto autentyczny rewolucyjny subiektywizm..." Różni „Scytowie" uważali Jesienina za wyraziciela swojej ideologii; pamiętam, jak w Berlinie A.A. Szrejder dowodził, że wezwanie poety: „Panie, ociel się!" wstrząśnie burżuazyjną Europą. A młodzi poeci widzieli w Jesieninie stwórcę nowej poezji; „imażynizm" podawał się nie za jeden z licznych kierunków poetyckich, lecz za tablice z Góry Synaj.

*Włodzimierz Majakowski – Portret Lili Brik*

Niesłuszne byłoby mniemanie, że Jesienin oszukiwał czy, jeśli kto woli, mistyfikował innych; często mistyfikował samego siebie; rozmaite uczucia, które go ogarniały, domagały się formy, i wtedy ustępował sobie: z melancholii robił program, z zamętu ducha — szkołę literacką.

Był szczęśliwy jak rzadko kto... Majakowski musiał walczyć z niezrozumieniem, naigrawaniem się jednych, chłodem innych, a Jesienina rozumiano i kochano za życia. W jego wierszach była ta szczerość, ta niezwykła tonacja, która podbijała nawet ludzi niechętnych mu, tych którzy słyszeli o jego niedorzecznych karczemnych przygodach. Marzył o sławie i zaznał jej do przesytu... Pokochała go znakomita artystka Isadora Duncan... Jej czułość ucieszyła go, jak światowe uznanie. Pragnął obejrzeć świat i jako jeden z pierwszych przemknął przez całą Europę, zobaczył Amerykę. Kobiety kochały się w nim... Robił wszystko, na co miał ochotę, i nawet surowi strażnicy radzieckiej moralności spoglądali przez palce na jego zuchwałe wybryki.

I trudno sobie wyobrazić człowieka bardziej nieszczęśliwego. Nigdzie nie mógł znaleźć sobie miejsca; nużyła go miłość, przyjaciół podejrzewał o jakieś knowania, był hipochondrykiem, wciąż myślał, że niedługo umrze... Dlaczego się rozpił? Dlaczego załamał się u samych początków życiowej i poetyckiej drogi? Skąd tyle niekłamanej goryczy nawet w jego wczesnych wierszach, kiedy nie pił i nie awanturował się? Powiadają, że za NEPu wypełzły z nor szumowiny i wtedy zrodziła się „Moskwa karczemna"; ale „Spowiedź chuligana" powstała przed NEP-em, owej zimy, kiedy Moskwa przypominała falanster lub klasztor o surowej regule...

**WIKTOR WOROSZYLSKI**

# Moje odkrycie Ameryki

Tak więc Krzysztof Kolumb przestał być odkrywcą Ameryki. Z mapy sporządzonej przez pewnego mnicha w Bazylei (lata 1431—1449) wynika jasno, że do brzegów Nowego Świata dotarł z wyprawą Wikingów niejaki Leif Erikson i założył tam nawet kolonię. Był to dokładnie rok 1001. Ale i Erikson musi ustąpić miejsca wcześniejszemu odkrywcy nazwiskiem Bjarni Herjolsson, który w 986 r. wylądował na ziemi amerykańskiej. Do jakiego stopnia wieści o przedkolumbowym dotarciu do nowego lądu poruszyły opinię na świecie i w Polsce, może świadczyć specjalna audycja telewizji warszawskiej, poświęcona tej właśnie sprawie. W pismach codziennych pojawiły się notatki, a w gazetach zagranicznych — również owa mapa, pochodząca z wieku piętnastego, odnaleziona w r. 1957, ale ogłoszona dopiero teraz.

Prosty stąd wniosek, że co jakiś czas ktoś odkrywa Amerykę na nowo. I to nie tylko przed Kolumbem, ale i po Kolumbie. Ja także ją odkryłem. Nie wierzycie? No to posłuchajcie. W roku bieżącym wydano u nas dwie książki Jamesa Baldwina: powieść „Dziś rano, dziś wieczór, tak prędko" oraz tom esejów i szkiców „Następnym razem pożar". Nie są to jego jedyne utwory. Napisał ich znacznie więcej, ale te dwa ukazały się w przekładzie na nasz język. I to wystarczy, by zrobić następujące odkrycie: James Baldwin to pisarz znakomity, nie dość jest go czytać, trzeba o nim pisać i zachęcać innych, by się nim zainteresowali. James Baldwin ma lat 41, pochodzi z murzyńskiej dzielnicy Nowego Jorku — Harlem, wygląda sympatycznie (na fotografii) i pisze wybornie. Jest to pierwszy pisarz amerykański murzyńskiego pochodzenia, który na kwestię murzyńską spojrzał nowymi oczami. Nie litość i nie współczucie dla prześladowanych poruszają jego piórem. James Baldwin stara się sytuację Murzynów amerykańskich ujawnić, zrozumieć i osądzić. Widzi on rasizm amerykański i bynajmniej go nie oszczędza. Znajduje ostre słowa potępienia dla białych, którzy w zaślepieniu rasowym i nienawiści wymyślają coraz to nowsze metody segregacji i poniżenia. Ale James Baldwin dostrzega również rasizm czarnych, polegający na tworzeniu gett, na dążeniu do izolacji, na stwarzaniu jakiejś wyjątkowej aury, krytykuje ostro fanatyzm religijny i obskurantyzm swych ziomków. W „Notatkach autobiograficznych" Baldwina czytamy między innymi: „Jedna z trudności stojących przed pisarzem murzyńskim (co nie jest dodatkowym usprawiedliwieniem, ponieważ nie uważam, by go to dotyczyło bardziej niż innych) polega na tym, że tak wiele pisze się o kwestii murzyńskiej. Półki z książkami uginają się pod ciężarem informacji i dlatego każdy uważa się za poinformowanego. Co więcej, informacje te na ogół utrwalają tradycyjne postawy — Za lub Przeciw. Ja osobiście nie umiem powiedzieć, która z nich sprawiła mi więcej bólu". I nieco dalej w tym samym szkicu: „Jest zadaniem pisarza — tak jak ja to widzę — badać stanowiska, drążyć pod powierzchnią życia, dokopywać się źródeł. Z tego punktu widzenia problem murzyński jest prawie niedostępny. Nie tylko pisze się o nim tak dużo, ale pisze tak źle".

James Baldwin postanowił wzbogacić literaturę o tematyce murzyńskiej, pisząc o niej inaczej, śmielej i ciekawiej. Powieść „Dziś rano, dziś wieczór, tak prędko" jest utworem wyjątkowo udanym. Bohater utworu, młody śpiewak murzyński, ożeniony ze Szwedką i mający synka Pawełka, przebywa w Paryżu, dokąd przybył z Ameryki bodaj przed ośmiu laty. Ale nie może oderwać się od Ameryki, gdzie zostali jego rodzice i gdzie zamierza znowu powrócić. W powieści autor przedstawia bohatera w sytuacji szykowania się do podróży powrotnej. Jego stan duchowy odmalował Baldwin wyjątkowo delikatnie, a zarazem z urzekającą prostotą. To właśnie najbardziej zdumiewa — ta prostota. Dawno już nie czytałem książki tak klarownej i tak pięknie napisanej. Baldwin dowiódł, że można być bardzo współczesnym i bardzo zrozumiałym. Że można poruszać sprawy złożone i głębokie, a jednocześnie czynić to środkami artystycznymi jak najprostszymi. Ogromna świeżość cechuje w równym stopniu jego powieści i opowiadania, co i jego eseje. Liryzm i humor — to cechy charakterystyczne i wyróżniające pisarstwo Baldwina. Autor umie być szczerym i dostatecznie samokrytycznym. Na tle rozpasanej megalomanii, tak znamiennej dla świata literackiego, książki Baldwina działają jak ożywcza kąpiel. Jest on tyleż utalentowany, co i skromny. Nie mam tu na myśli jego postawy życiowej, lecz jego postawę pisarską. Skromność w tym wypadku znaczy tyle, co uczciwość. Baldwin jest pisarzem niezwykle rzetelnym. Sięgnijmy jeszcze raz do jego zapisków autobiograficznych z tomu „Następnym razem pożar". Przeczytamy tam na przykład: „Sądzę, i wiele za tym przemawia, że każdy autor uważa świat, w którym żyje, za jeden wielki spisek przeciwko rozwojowi jego talentu". Zupełnie jakbym słyszał naszych młodszych kolegów. Tylko, że Baldwin im nie nizuje, a owi koledzy głoszą podobne rzeczy ze zwierzęcą powagą. I święcie w to wierzą. A przecież rzecz polega na tym, by pisać coraz lepsze książki, takie książki, których nikt inny, prócz nas napisać nie jest w stanie. James Baldwin wyznaje: „Jest tylko jedno źródło pisarstwa — własne doświadczenie". Nie należy oglądać się na doświadczenia cudze, należy oglądać się na doświadczenia własne i z nich robić użytek.

Z Jamesem Baldwinem spędziłem kilka wyjątkowo miłych wieczorów. To radość odkryć takiego pisarza. Odkryć przede wszystkim dla siebie. Bo cokolwiek by nie powiedzieli i jakkolwiek by nie powiedzieli inni — każdą rzecz człowiek musi odkryć sam, niezależnie od nich, a często nawet wbrew nim. Teraz rozumiecie, dlaczego niniejszy felieton zatytułowałem „Moje odkrycie Ameryki". Chodzi o to, że moje i dla mnie samego. A przy okazji może i dla innych. Ale tylko przy okazji.

Jan Koprowski

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

# Szkatułka grupy autentystów kieleckich

W ciągu powojennego dwudziestolecia istniało sporo grup poetyckich; zmieniały one jednak swój charakter. Były to raczej luźne związki, w które łączyli się poeci o zupełnie odrębnych indywidualnościach twórczych. Wiązała ich z sobą nie tyle walka o wspólnie sformułowane zasady warsztatowe własnej twórczości, ile raczej zaangażowanie w sprawy ideowe, którym poświęcili swoją twórczość. Działalność takich grup polegała przede wszystkim na wspólnych spotkaniach członków, na których organizowano dyskusje na temat aktualnych zagadnień kulturalnych, spotkaniach, w czasie których czytano i dyskutowano własne utwory oraz organizowano seminaria i konkursy literackie.

Jedną z takich grup, która przetrwała początkowy — zawsze najtrudniejszy — okres działalności, jest grupa „Ponidzie".

„Ponidzie" powstało pięć lat temu i w ciągu tych pięciu lat swojego istnienia wykształciło własne formy pracy i działalności. Na podkreślenie zasługuje fakt, że „Ponidzie" jest grupą regionalną, skupiającą twórców z okręgu kieleckiego. „Ponidzianie" nie wstydzą się swojej prowincjonalności. Przeciwnie — akcentują ją niemal na każdym kroku. Ów „regionalizm" stał się cechą dominującą w ich twórczości; mało tego — twórcy z „Ponidzia" potrafili z tej charakterystycznej dziełom swoim właściwości uczynić kategorię estetyczną. Można to dostrzec zarówno w dwóch almanachach „Ponidzia", wydanych w r. 1963, jak i w ostatnio opublikowanej przez Wydawnictwo Łódzkie „Szkatułce Grupy Ponidzie", gdzie znajdziemy osiem odrębnych tomików poetyckich twórców z Kielecczyzny.[1])

Jakie jest pierwsze wrażenie po przeczytaniu tych książeczek? Przede wszystkim zadziwia tutaj szczerość doznania lirycznego, które nie jest zafałszowane ani jałową erudycją, ani aktualnym snobizmem, ani pustym estetyzowaniem.

Dla Ponidzian najważniejsze jest takie słowo poetyckie, które by mogło unieść ciężar ich własnego wzruszenia poetyckiego, odczuwanego w zetknięciu z przyrodą i pięknem regionu, który zamieszkują. Nie sformułowali tego w żadnym szumnym manifeście, ale postulat, którego spełnienia oczekują od własnej twórczości, można wyrazić w zdaniu: „Opisać piękno ziemi, aby wyrazić człowieka". Stąd rodzi się najważniejsza cecha poezji Ponidzian: autentyzm.

Czasami jest to jeszcze autentyzm typu subiektywnego, o zabarwieniu autobiograficznym — jak na przykład jest u A. Zatorskiego i u B. Pasternaka. Ale i oni potrafią zadziwić niekłamaną trafnością patrzenia na sprawy opisywane. Podobnie i wiersze R. Fatygi cechuje umiejętność konstruowania ekspresji lirycznej, której przyczyną stało się jakieś wspomnienie, szczegół z życia lub z otaczającego poetę piękna przyrody. Także i M. Baran przedmiotem swojej poezji potrafi uczynić ograne często sytuacje liryczne i rekwizyty takie, jak np. słońce, wiatr, ptaki, fragment jakiejś znanej piosenki itp. Pod jego piórem przestają one razić banałem. Dzieje się to dzięki świadomie zastosowanego przez poetę naiwnego prymitywizmu lirycznego.

W prostocie budowy wiersza zbliżony jest do Barana K. Tarnowski. Nieskomplikowane zdania oznajmujące jego wierszy funkcjonują na zasadzie zwykłych informacji, których zespół zawarty w całości utworu, daje stop o szlachetnym ładunku emocjonalnym. Ciekawy w tomiku Tarnowskiego jest unikalny cykl wierszy poświęcony rybom.

Próbkę najbardziej dojrzałego autentyzmu daje w swoich wierszach R. Miernik. Poezja ta swoją surowością przypomina rzeźby, wyrzynane w drzewie przez ludowych artystów. Ostrość sformułowań poety dosadnie podkreśla nagi prymitywizm opisywanego przedmiotu, surowość ludzi i krajobrazu wiejskiego.

Spośród omawianych poetów wyróżnia się J. Golka. Mimo że tematycznie utwory jego związane są także z Ziemią Kielecką, różnią się one od wierszy jego kolegów przede wszystkim stylem, w którym dominuje typowo plastyczna obrazowość i — co za tym idzie — nadmierna niekiedy wybujałość metafory. To wszystko odbija się ujemnie na konstrukcji całości utworów i wskutek tego zatracona zostaje czasem prostota i jasność tak charakterystyczna dla Ponidzian.

Od grupy omawianych autentystów odróżnia się także najmłodsza z prezentowanych w „Szkatułce" twórców — Ada Kopcińska. Poezja jej nosi wprawdzie wyraźne ślady terminowania w szkole ponidzkiej — jednak autorka potrafiła wyjść poza ramy zakreślone przez ścisły autentyzm. Kopcińska daje do zrozumienia, że jest w trakcie poszukiwania własnej, oryginalnej drogi poetyckiej, a talent młodej poetki pozwala rokować nadzieje, że poszukiwanie to zostanie uwieńczone sukcesem.

Omawiając twórczość członków „Ponidzia" nie sposób nie podkreślić zasług jego patrona i opiekuna — Waldemara Babinicza, u którego w Rożnicy (gdzie prowadzi on Uniwersytet Ludowy) odbywają się zazwyczaj zebrania grupy.

[1]) Szkatułka Grupy „Ponidzie", Wydawnictwo Łódzkie, 1965. (M. Baran: „Jemiołę zbierać"; R. Fatyga: „Żniwa z ugoru"; J. Golka: „Kwadrat"; A. Kopcińska: „I noszę to"; R. Miernik: „Strugam"; B. Pasternak: „Wikli nowe słowa"; K. Tarnowski: „Nad brzegiem"; A. Zatorski: „Dom białych sal").

*Picasso skończył 84 lata. Oto zawsze młody stary mistrz w karykaturze Adolfa Hoffmeistera.*

## PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

### „WICEHRABIA PRZEPOŁOWIONY"

Książki Italo Calvino znane są już czytelnikowi dość dobrze. Kto raz zakosztował jego prozy, na pewno bez zachęcania sięgnie po każdą następną powieść tego pisarza. „Czytelnik", po „Rycerzu nie istniejącym" i „Baronie drzewołazie", udostępnił nam ostatnio nową fantastyczną opowieść pt. „Wicehrabia przepołowiony".

Calvino jest mistrzem groteski filozoficznej. Nieprawdopodobne przygody bohaterów są celowo ukształtowane tak, by były wykładnikami pewnych idei, sądów o świecie, człowieku.

Calvino jest pesymistą na wesoło. Świat u niego jest pełen sprzeczności nie do rozwiązania, dzieją się na nim rzeczy okrutne i bezsensowne w swoim okrucieństwie. Jako myśliciel, jest wobec zła bezsilny. Jedynym wyjściem jest kpina. Korzysta z niej w każdym momencie. Zła połowa wicehrabiego mówi: — Nie żałuję swojej drugiej połowy — dopiero teraz nauczyłem się patrzeć na rzeczy, których przedtem nie dostrzegałem. Dobra połowa powtarza dokładnie to samo. Ale obie, bez względu na intencje, są dla społeczeństwa nieznośne.

Tutaj wyłania się następny problem — istoty „normalne" nie umieją dostrzegać świata w sposób pełny, widzą go raczej powierzchownie. Ale „połówki ludzkie", mimo, że sięgają w rzeczywistość głębiej, widzą ją, niestety, jednostronnie. Znów przykry wniosek — dostrzegamy świat albo powierzchownie, albo jednostronnie.

Cieśla Pietrochiodo, który udoskonalił sztukę budowania szubienic, postanowił zbudować w końcu jakąś maszynę, która by pomagała w szerzeniu dobra. Obradował długo z dobrą połówką wicehrabiego, w końcu stwierdził, że „możność budowania dobrych maszyn wykracza poza ludzkie możliwości, a jedyne, które mogą funkcjonować praktycznie i bezbłędnie, to szubienice i narzędzia tortur".

I tak dalej, i tak dalej. Co krok, to poważny problem filozoficzny, który rozwiązuje się w działaniach nieco dziwacznych bohaterów, w krajobrazie stylizowanym na średniowiecze, wśród nieprawdopodobnych wyczynów człowieka, czerpanych również z tradycji średniowiecza.

Italo Calvino — „Wicehrabia przepołowiony", Czytelnik, 1965.

J. P.

### „MORDERSTWO BEZ KARY"

Omawiając powieść Theo Harycha „Morderstwo bez kary" wypada słów kilka poświęcić postaci autora, nieznanego dotąd polskiemu czytelnikowi. Theo Harych ur. 1903 r. w Dobruchawie (Wielkopolska), zmarły w 1938 r. w Berlinie, był synem robotnika rolnego i sam w młodości pracował w majątkach ziemskich. Zadebiutował późno, bo dopiero w 1931 roku. Twórczość swoją poświęcił życiu robotników rolnych, z dużym realizmem opisywał nędzę i wyzysk klasowy panujący na wsi niemieckiej. Powieść pt. „Morderstwo bez kary", wydana po raz pierwszy w roku 1938 relacjonuje głośną w latach 20-tych sprawę polskiego robotnika rolnego — Józefa Jakubowskiego, niewinnie skazanego na śmierć przez sądy Republiki Weimarskiej. Jakubowski, posądzony o zabójstwo małego dziecka padł ofiarą intrygi zbrodniczego środowiska wiejskiego i potem bezdusznego, stronniczego sądownictwa. Nie pomogły liczne głosy protestu całych postępowych Niemiec. Pierwszy, bezsensownie przeprowadzony przewód sądowy wydał wyrok już nie do obalenia.

Oprócz emocjonującego wątku sensacyjnego powieść Harycha zawiera tak że elementy obyczajowe. Autor z dużym realizmem nakreślił życie zapadłej, ubogiej wioski Palingen. Ciekawie przedstawione zostały postacie głównych bohaterów: cichego i dobrodusznego Jakubowskiego, zbrodniczej rodziny Nogensów i żandarma Libberta, który za cenę własnej kariery poświęcił się wykryciu prawdziwych sprawców morderstwa.

Trochę razi styl, bardzo już niewspółczesny, ale wydaje się, że pewne niezręczności mogły zostać wypolerowane przez tłumacza. Ale i tak książkę czyta się z zapartym oddechem, prawie tak samo, jak „rasowy" kryminał.

B. M.

Theo Harych — „Morderstwo bez kary", tłum. Irena T. Sławińska. Wyd. „Śląsk", Katowice, 1965, stron 341, cena zł 20.

### „MAŁY CZŁOWIEK"

Pragnąłbym zacząć od gratulacji: to co na 150 stronicach swej książki ukazuje nam Zofia Rydet — to nie tylko zestaw ambitnych fotogramów, to nawet nie świetnie pomyślana ekspozycja w starannym wydaniu albumowym. „Mały człowiek" — nowe wydawnictwo „Arkad" — to po prostu arcydzieło i piszący jest w pełni przekonany o umiarze i słuszności aż takiego określenia.

Kochamy dzieci, obcujemy z nimi na co dzień i znamy to uczucie, kiedy nagle jakaś dziecięca reakcja, jakiś przelotny wyraz na dziecięcej twarzy zaskoczy nas nieoczekiwaną wprost głębią przeżycia psychicznego. Gdy tak na chwilę staniemy się świadkami dziecięcej tragedii lub triumfu, ulotność tych chwil nie pozwala nam ich studiować. Wydawałoby się więc, że są to momenty na zawsze przemijające. A tymczasem mistrzowska kamera Zofii Rydet, jej znajomość dziecięcej psychologii, subtelne wyczucie nastroju, niezawodny zmysł obserwacyjny i gorące, „korczakowskie" serce, wszystko to złożyło się na warsztat twórczy, któremu zawdzięczamy dzieło pełne prawdy i co w tej książce nie znaczy najmniej — równie pełne humoru.

Bo książka Zofii Rydet o dzieciach mówi właściwie o nas, o starych, zgorzkniałych ramolach, ukazuje nas w krótkich spodenkach lub z warkoczykami, i w tej zadziwiającej retrospekcji pozwala nam jeszcze raz przeżyć często już zapomniane radości i rozterki sprzed wielu lat. Tworzy więc poetyczny pomost między nowymi a dawnymi laty. A jeśli kogoś poezja, pełna zużytych i wyświechtanych słów, nuży — tym bardziej radzę sięgnąć po tę książkę: bo jak mówi dziennikarskie powiedzonko „jedno świetne zdjęcie bywa warte tysiąca słów"...

M. S.

### KSIĄŻKI NADESŁANE

Tadeusz Pietrzak — PODZIEMNY FRONT, MON, cena zł 20.

Ernest Bryll — JAŁOWIEC, LSW, cena zł 10.

Borys Balter — DO WIDZENIA CHŁOPCY, Iskry, cena zł 10.

Jerzy Horodyński — GŁOWA NA PIEŃKU, WL, cena zł 10.

Karolina Targosz-Kretowa — TEATR DWORSKI WŁADYSŁAWA IV, WL, cena zł 45.

JERZY WILMAŃSKI

# Historia i sztuka w „Białej Fabryce"

**To trochę śmiesznie pisząc o Muzeum, które w swej nazwie ma również rzeczownik Historia, zacznijmy od... jego historii. Ale inaczej nie można i rzecz o Muzeum Historii Włókiennictwa rozpocznijmy...**

W roku 1952, w łódzkim Muzeum Sztuki powstał Dział Tkactwa. „Podopiecznymi" działu były wtedy stare słuckie pasy, artystycznie tkane gobeliny sprzed lat, jakiś ornat czy dywan. Potem była decyzja Rady Narodowej postulująca narodziny w stolicy polskiego włókiennictwa muzeum, które by obrazowało, gromadziło i systematyzowało ten ogrom eksponatów, problemów i spraw, jakie zawiera w sobie kilkusetletnia historia polskiej tkaniny artystycznej i polskiego przemysłu włókienniczego.

Dziś jest to już placówka samodzielna, mająca ponad 2 tys. wartościowych eksponatów — parę pięter przestrzeni życiowej i ponad 1000 m kw. powierzchni wystawowej. Dziś w kwadracie budynków geyerowskiej „Białej Fabryki" następuje powolna ekspansja muzeum na coraz dalsze partie starej zabudowy.

Rzecz zabawna. Na Biennale Tkaniny Artystycznej w Lozannie dyr. Kondratiuk zawiozła masę zdjęć „białej fabryki". „Cudo — wykrzykiwali Szwajcarzy — Polska Wenecja!". Pod adresem Łodzi i i położenia muzeum. Poczciwy geyerowski staw, zamulony i błotnisty urósł do rangi „wielkiej wody". Oto co można zdziałać odpowiednio wykonaną fotografią.

Ale tu, w tym mieście trzeba szybko zapomnieć o „polskiej Wenecji". Na dziedzińcu Muzeum walają się sterty gruzu; działy księgowości, płac i rachuby Zakładów im. Dzierżyńskiego urzędują w dziesiątkach pokoi na pierwszym piętrze i nic nie wskazuje na to, że muzeum w najbliższym czasie dostanie resztę pomieszczeń. Instytucja o tajemniczej nazwie WPHAUK urzęduje na trzecim piętrze frontowego skrzydła i nic nie wskazuje na to, że się niebawem wyniesie...

Trzeba zapomnieć o „polskiej Wenecji"... Po pięciu miesiącach dopiero Wydział Kultury po skompletowaniu danych finansowo-kosztorysowych odpowiada w sprawie wystawy „Włókiennictwo wczoraj i dziś". Odpowiada więc żeby brakujące fundusze wygospodarować z kredytów innych, partycypujących w wystawie instytucji. NOT dał 80 tys. zł, Ministerstwo Kultury — 40 tysięcy. Razem 120 tysięcy. Z tego muzeum ma „wygospodarować"... brakujące 240 tys. zł. A jednocześnie z tego samego źródła otrzymuje dodatkowe... 240 tys. zł na remonty. Surrealizm, proszę państwa.

Ale wystawa będzie, choć w Warszawie podobne ekspozycje kosztują parę milionów złotych. Wystawa, jedyna na tę skalę w Europie będzie, bo są jeszcze ludzie, którym po prostu i po ludzku zależy.

Nic nie wskazuje na to, że ekspansja muzeum postępować będzie systematycznie naprzód — napisałem powyżej. Przepraszam — wskazują plany. A to już coś.

Kiedy Muzeum Historii Włókiennictwa obejmie wreszcie kwadrat zabudowań „białej fabryki" — wyburzy się parterowy budynek, nad stawem, skrzydło w głębi przeznaczy na wystawy tkanin; poszczególne działy Muzeum otrzymają odpowiednie pomieszczenia. Warto by pomyśleć wówczas o kawiarence. Nie ma cudów — na całym świecie gastronomia idzie w parze z turystyką, a przecież takie jedyne w Europie muzeum będzie atrakcją turystyczną nie lada.

Dziś już wiadomo, że przejęcie przez muzeum ostatniego członu „białej fabryki" nieco się przeciągnie. Ale zupełnie inaczej — optymistycznie — wygląda sprawa innego skrzydła fabryki. Piętrowy budynek — prostopadły do ulicy jest obecnie adaptowany. W listopadzie zakończy się prace, w grudniu nastąpi oficjalne przejęcie. Będzie to skrzydło magazynowe z pomieszczeniami pracowni, ale i ono będzie miało wystawowy charakter. Zbudowano już oszkloną galerię, z której obejrzeć można wnętrze fabrycznego podwórka ze starą kotłownią, pozostawioną nie tylko dlatego, żeby magazynować tam maszyny, ale również dlatego, że i ten, nie taki przecież wiekowy budyneczek już dziś nabiera historycznej, dokumentalnej patyny i nadaje charakter całemu wnętrzu dziedzińca.

Oszkloną galeryjką przejdźmy do wykańczanej obecnie sali odczytowo-kinowej na 300 miejsc.

Jakby nie było — niezależnie od skreśleń z planów i dotacyjnych sztuczek — będziemy przecież mieli muzeum o europejskiej nie tylko randze (bo to już dziś nie ulega wątpliwości), ale także o europejskim „miejscu na ziemi". Prośmy jednak los, aby zauroczeni fotograficzną wizją Andrzeja Solarza, Szwajcarzy nie trafili do „polskiej Wenecji" wcześniej niż za 4—5 lat. Będzie wówczas może zagospodarowany także teren parku przylegającego do muzeum. Na tych terenach — były takie propozycje — winien powstać skansen włókienniczy mieszczący stare domki tkaczy, płócienników i sukienników. Może zrekonstruowany folusz czyli „młyn do folowania, zbijania tkaniny wełnianej dla uzyskania sukna" — urządzenie używane w Polsce od XVI do XIX wieku. Może bielnik czy inne urządzenia z okresu rękodzielnictwa. Bo jednak będzie muzeum o przestrzeni życiowej około 60 tys. m sześciennych kubatury i około 3 tys. metrów kwadratowych powierzchni wystawowej. Największą sławę przynoszą łódzkiemu muzeum współczesne tkaniny artystyczne.

Rzecz w tym, że na świecie nastąpił niebywały renesans tej dziedziny sztuki i patronat muzeum nad młodymi artystami, lansowanie talentów: Abakanowicz, Sadleya. Owidzkiej i innych przyszedł w samą porę, utrafił w sedno światowych zainteresowań.

Dziś każdy z wylansowanych przez muzeum artystów sprzedaje „na pniu" swoje prace — za dziesiątki tysięcy zł w kraju i za dewizy (500 dolarów za m² tkaniny) za granicę. „Polska tkanina jest rewelacyjna i rewolucyjna" — pisała prasa szwajcarska na ostatnim Biennale w Lozannie. Najpoważniejsze pisma poświęcały Polakom całe kolumny. A w Biennale brał udział przecież i Picasso i Arp nie licząc pomniejszych sław.

Na pewno rozsądny i przewidujący jest ten „strzał" w centrum światowych zainteresowań tkaniną artystyczną. Rozsławia on Polskę i stolicę polskiego włókna. Dość powiedzieć, że w br. polskie tkaniny oglądano w Oslo, Kopenhadze, Lipsku, Karl-Marxstadt, Linzu, oczywiście w Lozannie, a w grudniu obejrzy je Praha. To tylko wielkie wystawy tkanin, a przecież były jeszcze mniejsze ekspozycje w Jugosławii, Rumunii, Bułgarii, na Węgrzech w Paryżu i Sao Paulo... W roku przyszłym pojadą natomiast do Szwecji, Finlandii NRF, Austrii, Włoch, Czechosłowacji... zaproszenia zresztą sypią się zewsząd.

Za parę lat nad geyerowskim stawem odnowiony i adaptowany w starej fabryce kombinat muzealny stanie się w sposób jeszcze pełniejszy ośrodkiem historii i współczesności włókiennictwa, ośrodkiem pięknej sztuki tkackiej. Turystom z innych miast i innych krajów nie zaimponujemy naszą kolekcją malarstwa ani naszą architekturą — inne miasta i inne kraje mają bogatsze zbiory w swych muzeach i piękniejszą architekturę. Ale w Muzeum Historii Włókiennictwa widzę ogromną szansę także turystyczną Łodzi. Dlatego powinny się znaleźć pieniądze i na miniaturowy skansen włókienniczy, bo to rzecz bardzo atrakcyjna od strony widowiskowej, powinny się znaleźć pieniądze na muzealne foldery propagandowe, reprodukcje, pocztówki, katalogi, zaplecze kawiarniane i zaplecze kadrowe. Z dziedziny surrealizmu bowiem jeszcze jeden przykład. Wystawa „Włókiennictwo wczoraj i dziś" mieści się na dwu kondygnacjach frontowego skrzydła. Parter zajmuje współczesność — piętro historia w autentycznej, zachowanej scenerii, pod drewnianym belkowaniem starej hali fabrycznej. Wydawać by się mogło, że obie kondygnacje ekspozycji związane są tematycznie i trudno proponować zwiedzającym tylko historię lub tylko współczesność. A jednak... Ponieważ są kłopoty z etatami zachodzi taka konieczność. Do obsługi i nadzoru każdego piętra ekspozycji potrzeba kilku ludzi. Możliwości kadrowe muzeum ograniczają się do... jednego człowieka na prawie 1000 m² powierzchni wystawowej.

Ale nie było jeszcze takich kłopotów, z których nasz brat — Polak nie potrafiłby jakoś wyjść. Więc będzie ogromna placówka humanistyczno - techniczno - artystyczna na europejską skalę. Właśnie w Łodzi, w kwadracie starej cegły przemysłowego pomnika.

*Z Wystawy Czterech. Benon Liberski — Akt. (Olej)*

## KRONIKA Antytelewizyjna

Z uwagą słuchałem wywiadu z wiceministrem finansów Józefem Trendotą, jako że — by użyć zwrotu mego kazachstańskiego buchaltera, sympatycznego Jegora Charczenki — „finanse lubią śpiewać romanse". I to na różne melodie. Rozmowa dotyczyła spraw ważnych: nowego systemu finansowego a raczej, jak mi się wydaje przynajmniej w sensie językowym, nowego systemu finansowania kredytowego przedsiębiorstw produkcyjnych. Wice minister wiele wyjaśnił, może wyjaśniłby jeszcze więcej, gdyby nie redaktor prowadzący rozmowę, który jakoś nie chciał, by wiceminister szerzej ilustrował swoją wypowiedź przykładami, co ją czyniło zrozumialszą dla nas, laików. Dziwne: niechby obywatel wiceminister mówił jak najwięcej, zaś obywatel redaktor dodatkowo zadawał podchwytliwe pytania. Tak sobie wyobrażam rozmowy dziennikarzy z ministrami. Wiceminister zapowiedział m. in. przedsięwzięcia zmierzające do obniżki kosztów własnych produkcji, ściślejsze powiązanie producentów z potrzebami rynku. Mówiąc o bodźcach, mówił o wygospodarowywaniu funduszów na budownictwo mieszkaniowe. Faj nie! Ale tego samego dnia przeczytałem w gazecie, że

„nie ma kto budować" i cztery miliardy złotych czekają na wykorzystanie. Chętnie tedy usłyszałbym również i rozmowę na ten temat, być może, z przedstawicielem innego resortu.

Wydarzeniem artystycznym tygodnia należy nazwać występ Jacka Woszczerowicza w sztuce Carla Zuckmayera „Kapitan z Koepenick". Pomimo upływu lat, żadna z istotnych tkanek tej sztuki nie zwapniała, Woszczerowicz grał najpierw samymi rękami, na początku bowiem widzieliśmy tylko ręce tego zmiażdżonego przez pruską machinę człowieczka, który chce tak mało: paszportu oraz pracy i pochowku w rodzinnej ziemi, gdyż człowieczek jest na swój sposób gorącym patriotą. Woszczerowicz jako przestępca z konieczności przez cały czas budził żywe współczucie, w jego grze — a stworzył jakże pełną postać — wszystko było ludzką prawdą, wszystkie stany „kapitana" wynikały konsekwentnie aż do końcowej kulminacji, owego szlochu przed lustrem człowieka ostatecznie pozbawionego nadziei. Przez cały czas zapominało się, iż jesteśmy obserwatorami gry wielkiego aktora a realia sytuacyjne są anachroniczne, po prostu przestawaliśmy z żywym uosobieniem ludzkiej niedoli. Ze scen zbiorowych należy ze szczególnym aplauzem wymienić obłędną „grę wojenną" w więzieniu.

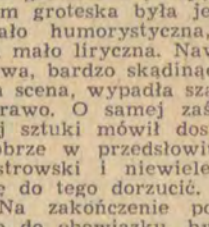

Etiudę dramatyczną Luigi Pirandella „Człowiek z kwiatem w ustach" sfilmowano chyba ze względu na Holoubka i Fijewskiego. I rzeczywiście: Holoubek był jeszcze raz niesamowity, tym razem niesamowitością człowieka skazanego nieodwołalnie na śmierć, człowieka już z drugiego brzegu, daremnie czepiającego się czegokolwiek, co jest materią życia ludzi na razie nie zagrożonych. Fijewski zaś przeciwstawiał mu właśnie normalną zwyczajność Zapóźnionego letnika, wdanego w codzienne kłopoty, który nic nie rozumie z sytuacji Człowieka z kwiatem w ustach. Miał rolę trudniejszą, gdyż złożoną z nielicznych króciutkich kwestii.

Teatr Sensacji przedstawił widowisko pt. „Piąta bomba" według scenariusza Szypulskiego. Zwartości konstrukcyjnej, stworzeniu właściwego temu teatrowi napięcia zaszkodziła rozwlekła opisowość, scenki poświęcone psychologizowaniu postaci, ale sama pointa wypadła doskonale. Emil Karewicz jako „dwójkarz" był bardzo głupi, jednak na takich oficerów wywiadu wskazują liczne publikacje powojenne, nawet i — emigracyjne. Tak czy inaczej „Piątą bombę" osłabiło niezdecydowanie jej twórców: teatr polityczny czy teatr sensacji w ścisłym znaczeniu?

Przedstawieniu „Ptaka" Jerzego Szaniawskiego, przeniesionemu z teatru „Ateneum", wyraźnie czegoś brakowało. Sądzę, iż nie osiągnięto udzielającego się widzom przenikania groteski z poezją, a poza tym groteska była jeszcze za mało humorystyczna, poezja za mało liryczna. Nawet końcowa, bardzo skądinąd teatralna scena, wypadła szaro i nie mrawo. O samej zaś esencji tej sztuki mówił dostatecznie dobrze w przedsłowiu Adam Ostrowski i niewiele dałoby się do tego dorzucić.

Na zakończenie poczuwam się do obowiązku, by wyjaśnić, że sprawozdanie urywa się na piątku, gdyż z powodu dwóch dni świątecznych drukarnia nie zdążyłaby z „Odgłosami" na czwartek. Cóż począć, żyje się w epoce ponad dźwiękowych samolotów...

Jan Huszczy

# LIST z WARSZAWY

*W Warszawie mówi się, że „Popioły" Wajdy podzieliły Polskę na dwa obozy. Ba, zarysowują się nawet podziały rodzinne. Oto mąż XY uważa „Popioły" za rzecz wręcz genialną. To autentyczny Żeromski! — woła. Małżonka natomiast jest odmiennego zdania. Bija bezbronnych Hiszpanów, zupełnie jak faszyści. Nie, to nie jest Żeromski! Dobrze znane spory i nie będzienty się dłużej nad nimi zatrzymywać. Oponentów i zwolenników nie godzi też wersja centrystów, ludzi skromnych i trzeźwych. Dla nich film jest zrobiony raczej „wajdliwie". Nie samymi „Popiołami" człowiek wszakże żyje, jak i nie samym oczekiwaniem na wajdowski „diament" filmowy, który — między Bogiem a prawdą — oby nam w przyszłości zajaśniał najpełniejszym blaskiem.*

*Na razie krytycy filmowi łamią głowy, czy Olbrychski będzie następcą Cybulskiego czy nie. Zanim ta ważka sprawa się wyjaśni, proponuję obejrzeć pierwszy film produkcji polsko-szwedzkiej „Kochać", który niedługo wejdzie na nasze ekrany. Zbigniew Cybulski tym razem doskonale zdubbingowany i słynna gwiazda Bergmana Harriet Andersson — występują razem. Młody reżyser Jörn Donner daje w tym filmie ciekawe studium „wesołej wdówki" w dzisiejszej Szwecji. Złośliwi twierdzą, że Cybulski, pięknie w tym filmie fotografowany, nie przemęczył się zbytnio, (chociaż wszystko jest względne...), gdyż większość akcji dzieje się po prostu w łóżku. Nie Cybulski jest temu winien, ale panująca w Szwecji swoboda seksualna.*

*Nie tylko w Szwecji bywa rozluźnienie obyczajów. Znamy i inne kraje. A dla przykładu wymienię p. Lizę, która brawurowo wykańcza aż... pięciu mężów. Są nimi: Dean Martin, (Młode Lwy), Robert Mitchum, (Żołnierze), Gene Kelly, (Deszczowa piosenka), Paul Newman, (Hud, syn farmera) i młody amant Dick van Dycke. Panią Lizą jest urocza gwiazda Hollywood Shirley Mac Laine, którą ujrzymy w filmie „Pięciu Mężów Pani Lizy". Feeria kolorów, kostiumów, pomysłów i gagów. Reżyseria J. L. Thompsona, twórcy „Nieletniego świadka".*

*Młodzieży spodoba się głównie nowa historia „płaszcza i szpady", opowiedziana z werwą i rozmachem. Jest nią „Syn kapitana Blooda", w którym rolę tytułową gra Sean, syn Erola Flyna, dawnego odtwórcy tej roli, dziś już nieżyjącego i znanego dobrze średniemu pokoleniu widzów kinowych. Z popularnych gwiazd zobaczymy Ann Todd, aktorkę o niepokojącej urodzie.*

*„Złoto Alaski" to jeden z najświetniejszych filmów przygodowych ostatnich lat, reżyserii wielkiego mistrza napięcia Henry Hathawaya z rewelacyjną obsadą: John Wayne, piękna Capucine, męski Stewart Granger, śpiewak Fabian. Dzieje poszukiwaczy złota na Alasce ukazane pół żartem pół serio ze scenami niezapomnianych bójek i wielu nowymi gagami.*

*To tylko kilka tytułów filmów, które chciałabym zasygnalizować łódzkim Czytelnikom. Dodam jeszcze, że tegoroczne Dni Filmu Radzieckiego przyniosły sporo ciekawych pozycji, że wymienię: „Ojca żołnierza", „Człowieka z przeszłością", „Dziada i babę" oraz komedię „Trzy plus dwa".*

*Ale czym żyje towarzysko stolica? Na kawiarnianych i innych spotkaniach do dobrego tonu należy zaczynanie rozmowy od pogody. Oto wpływ łagodnej zimy tegorocznego lata, a może turystów z mglistego Albionu, odwiedzających nasz kraj tak tłumnie. Nie należy też do faux pas uchylać rąbka męskiej koszuli non-iron (á 900 zł) czy damskiego dekoltu, aby pochwalić się jesienną urlopową opalenizną.*

*Żelaznym tematem — poza pogodą — jest zbliżająca się premiera „Strasznego Dworu" w Teatrze Wielkim w dniu 24 listopada. Podobno najbardziej ruchliwe „koniki" zamierzają zdradzić tym razem X Muzę z Melpomeną i Terpsychorą. Czy im się to uda? Bilety są już dawno rozprowadzone. Prawdziwą sensację budzi spotkanie dwóch wielkich rywalek Renaty Tebaldi i Marii Callas. Oprócz nich zapowiedziała się ogromna liczba innych gości zagranicznych. Czy w takich warunkach swoi mogą się liczyć? Hej, lza się w oku kręci. Więc rozżaleni już dziś po cichu nazywają Teatr Wielki — Strasznym Dworem. Wnętrze wielkiego gmachu oglądałam, jest przepiękne, ale jakoby nie wszystko gra z akustyką. A to już sprawa niebagatelna, wszak Opera to nie Teatr Pantomimy? Aliści przyznać trzeba, że przed samym gmachem TV zrobiono porządek. Wymalowano pasy, linie, przerywniki. Samochodziarzy informuję, że ulicą Wierzbową ruch jest jednostronny i takiż ulicą Moliera. Jest to kolosalny skrót z Krakowskiego Przedmieścia. A Teatr Wielki trzeba objeżdżać.*

*Namiętne dyskusje nad Placem Teatralnym ustały — nikomu nie zaszkodziły, a Placowi nie pomogły. Plac Teatralny staje się coraz piękniejszy i bliższy sercu warszawiaków. Proszę przyjedźcie*

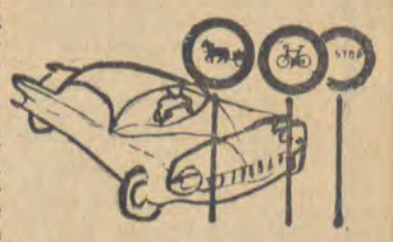

*i najlepiej przekonajcie się o tym sami. Umawiamy się pod warszawską Nike. A może pod pomnikiem księcia Józefa Poniatowskiego? Piękna rzeźba Thorwaldsena wywędrowała z marginesu Łazienek, by na poczesnym miejscu, przed Prymasowskim Pałacem przydać mu splendoru. O lepszą lokalizację byłoby trudno.*

LUDMIŁA GUTKOWSKA

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

### TURGIENIEW W ZSRR

■ Paryskie archiwum Turgieniewa od dawna było przedmiotem zainteresowania badaczy literatury. W 73 tomie „Litieraturnowo Nasliedstwa" znajdujemy opowiadanie „Rosyjski Niemiec i reformator", w którym Turgieniew daje ostry, satyryczny (trochę na sposób Szczedrina) rysunek cywilizowanego „pamieszczika", „rosyjskiego Niemca". Oprócz tego opowiadania „Litieraturnoje Nasliedstwo" drukuje plan pierwszej powieści Turgieniewa „Dwa pokolenia", nad którą pisarz pracował około sześciu lat (1850—1855). Historia powstawania tej nieudanej powieści świadczy, że już w początku lat pięćdziesiątych Turgieniew zbierał materiały w poszukiwaniu reprezentatywnego „centralnego" charakteru, bohatera rosyjskiego z połowy XIX wieku. W istocie, oznaczało to dla pisarza przejście do pisarstwa poszukującego obyczajowych oraz ideowych znamion inteligencji rosyjskiej. W tymże 73 tomie spotykamy się z późnym, niezrealizowanym przez Turgieniewa zamysłem powieści o rosyjskich rewolucjonistach.

### DWIE NAGRODY LITERACKIE W NRF

■ Nagrodę literacką „Niemieckiej Akademii Retoryki i Poezji imienia Jerzego Büchnera" w Darmstacie w wysokości 10 tys. marek otrzymał znany w Polsce z tłumaczonej na polski powieści „Kot i mysz" Günter Grass, gdańszczanin z pochodzenia, przyjaźnie ustosunkowany do Polski. Niedawno młodzież chrześcijańska w

*Nelly Sachs*

Düsseldorfie spaliła publicznie na stosie jedną z najlepszych powieści Grassa „Blaszany bębenek". Tak więc, tym razem w kościelnym wydaniu odżywają niesławne tradycje hitlerowskie palenia książek. Grass na uroczyste wręczenie nagrody powraca z Francji, gdzie przygotował swoje przemówienie „O tym, co się rozumie samo przez się", które wygłosi na uroczystości wręczenia nagrody. Równorzędne wyróżnienie „Nagrodę Pokoju Niemieckich Księgarzy" otrzymała 73-letnia poetka Nelly Sachs. Nagroda zostanie wręczona poetce w kościele Świętego Pawła we Frankfurcie nad Menem. Nelly Sachs, córka berlińskiego fabrykanta wy

*Günter Grass*

emigrowała w 1940 roku do Szwecji. Gestapowcy zezwolili na wyjazd uwzględniając prośbę wielkiej pisarki szwedzkiej Selmy Lagerlöf, która interweniowała w sprawie wyjazdu poetki.

O, kominy
przemyślnie urządzonych
domów śmierci,
z których wyzwolone
ciało Izraela
rozwiewało się w
powietrzu.

Tejże autorki „Misterium o męce Izraela" było w 1962 roku wystawione na scenie w Dortmundzie. Dotychczasowymi laureatami Nagrody Literackiej „Niemieckiej Akademii Retoryki i Poezji" byli między innymi Anna Seghers, Max Frisch, Gotfryd Benn. Natomiast Nagrodę Pokoju „Niemieckich Księgarzy" otrzymali: Albert Schweitzer, Karol Jaspers, Teodor Heuss, Karol Fryderyk Weizsacker.

### MŁODZIEŻ NIEMIECKA

■ Według ankiety przeprowadzonej przez panią profesor Scharmann z Uniwersytetu w Erlangen młodzież w Niemieckiej Republice Federalnej posiada więcej radioodbiorników, aparatów fotograficznych i skuterów niż książek. Niektórzy z młodych nie posiadają nawet jednej jedynej książki, a na ogół bieliźniarki młodzieży niemieckiej są lepiej i ściślej wypełnione niż biblioteki domowe. Nie należy jednak z tego wyciągać wniosków, że młodzież niemiecka nie wie, co robić z pieniędzmi. Przeciwnie, zmysł oszczędzania silnie rozwinięty sprawia, że trzy czwarte młodzieży od 15 do 19 lat i dwie trzecie chłopców i dziewcząt od 20 do 25 lat od kładą regularnie swe zarobki i dochody do banków i kas oszczędnościowych, a cztery piąte dziewcząt przygotowuje sobie pieniądze na wyprawę ślubną od najmłodszych lat. Pani profesor uważa jednak za normalne, że młodzież jest bardziej rozrzutna niż w przeszłości. Dorośli wydają pieniądze nie licząc się z groszem. Czyżby młodzi mieli być bardziej za to krytykowani niż starsi. Faktem wszakże jest, że młodzież w Niemieckiej Republice Federalnej jest bardziej oszczędna, niż na przykład młodzież amerykańska. A jak jest z naszą, polską młodzieżą? Warto by poprosić naszych psychologów i socjologów o przeprowadzenie odpowiedniej ankiety na ten temat.

### HAROLD PINTER

■ „Wiesz, twoja matka nie była wcale taka zła. Ale ja jednak czuję, że zbiera mi się na mdłości, gdy widzę jej obmierzłą gębę". Oto jak rozmawia ojciec z synem w sztuce głośnego dramaturga angielskiego Harolda Pintera, zdobywającego sobie coraz większy rozgłos. U nas Pinter znany jest na razie w wąskim kręgu teatrologów. „Dialog" drukował w numerze 10 z 1960 roku jego trzyaktową sztukę „Narodziny Stanleya" w tłumaczeniu Adama Tarna. Nową sztukę Pintera „Powrót" wystawił w Berlinie zachodnim

*Harold Pinter*

Schlosspark - Theater. Pewien stary profesor filozofii powraca ze swą młodą żoną z Ameryki do rodziny w Anglii. Rodzina składa się z ojca, stryja i dwóch synów. Wszyscy czterej mężczyźni zaczynają emablować a raczej osaczać młodą profesorową. Po pierwszych sukcesach (na scenie) i następnych (za sceną) postanawiają oni zatrzymać ją dla siebie, zaś zrezygnowany profesor pakuje walizki i wraca do Ameryki. Akcja obu sztuk Pintera, „Urodzin Stanleya" i „Powrotu" jest niesamowita. Reżyser „Powrotu" oświadczył w czasie prób scenicznych: Trzeba nauczyć aktorów, aby niezwykły tekst Pintera mówili w zwykły sposób. Niezwykły w jego sztukach jest nie tylko twardy, lakoniczny dialog, ale również — niezwykła oszczędna akcja.

### TYLKO DLA PALĄCYCH

■ Nowa seria amerykańskich badań, przeprowadzona ostatnimi czasy, potwierdza całkowicie konstatacje ogłoszone niedawno przez czasopismo „Report" i ustalające związek istniejący między działaniem dymu tytoniowego a tworzeniem się nacieków rakowych. 10 proc. palaczy z kliniki w Louisville, wyleczonych z raka gardła lub jamy ustnej, zostało poddanych obserwacji po opuszczeniu kliniki. 65 osób uzdrowionych kontynuowało palenie, podczas gdy 37 przerwało całkowicie. Otóż, z tych 65 osób, które paliły papierosy, 21 zostało zaatakowanych na nowo przez raka, podczas gdy z 37, które przerwały palenie, tylko 2 osoby zostały dotknięte na nowo tą straszną chorobą. Obserwacje te zostały przeprowadzone i rezultaty stwierdzone ściśle w tym samym okresie czasu odnośnie wszystkich 102 osób. Jakie wnioski wyciągnęli lekarze kliniki Louisville? Uderzająca różnica w nawrocie choroby wskazuje jasno na wpływ tytoniu w tworzeniu się raka gardła. Osoby leczone na raka jamy ustnej mają zatem więcej szans na całkowite wyzdrowienie, jeżeli po przeprowadzonej kuracji przerywają ostatecznie palenie.

### FRANCUZI O LITERATURZE NIEMIEC

■ André Gide w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Die literarische Welt" w 1929 r. (przypomina nam o tym felietonista jednego z ostatnich numerów „Les Lettres Francaises") ubolewał nad słabą znajomością literatury niemieckiej we Francji. Wielu było takich, którzy nie słyszeli nawet o Tomaszu Mannie. Dużo się od tego czasu zmieniło. Francuzi posiadają jeszcze poważne zaległości w tłumaczeniach wybitnych utworów literatur innych narodów, ale nie odnosi się to do literatury niemieckiej. Nazwiska współczesnych pisarzy niemieckich, Heinricha Bölla, Güntera Grassa, Anny Seghers i innych są już dziś powszechnie znane we Francji. Jednakże zainteresowanie Francuzów piśmiennictwem niemieckim ma charakter nie tylko literacki, lecz również — polityczny. Felietonista nasz zwraca uwagę na wrzenie intelektualne, jakie obserwuje się obecnie w Niemieckiej Republice Federalnej i przypisuje to niebezpieczeństwu odrodzenia militaryzmu niemieckiego, przed którym ostrzegają intelektualiści z NRF. Pisarze ci mają świeżo w pamięci okrucieństwa hitlerowskie i apokalipsę II wojny, której byli nie tylko świadkami, ale częściej — ofiarami. Do takich należy Günter Grass, który zdobył światowy rozgłos swą powieścią „Blaszany bębenek"; do nich należy Heinrich Böll, którego uwagę przyciąga Związek Radziecki, gdzie pisarz niejednokrotnie przebywał na wczasach; do nich wreszcie zalicza się autor głośnego „Namiestnika" (sztuka teatralna o proniemieckiej postawie papieża Piusa XI), Rolf Hochhut; ten ostatni określając „cud gospodarczy" Niemiec zachodnich, jako mit, naraził się srodze kanclerzowi Erhardowi, który w czasie swej kampanii wyborczej wystąpił z pełną furii diatrybą przeciwko „nędznym intelektualistom", co to plotą niedorzeczności na temat spraw, o których nie mają pojęcia. Oprócz wyżej wymienionych nowa generacja pisarzy przystępuje do walki politycznej. Nie trzeba też zapominać o tych, co mieszkają poza granicami Niemiec, jak — Peter Weiss, który przyjechał ze Szwecji na spotkanie w Weimarze. Weiss dał dowód dużej odwagi krytykując w wywiadzie udzielonym dziennikarzowi „Neues Deutschland" tych, którzy krytykują wprawdzie politykę Niemiec zachodnich, lecz nie odważają się deklarować po stronie socjalizmu.

### KOLUMB MA JESZCZE SZANSE

■ Sławna karta geograficzna, mapa z 1440 r., ogłoszona niedawno przez Amerykanów jako dowód, że Ameryka nie została odkryta przez Krzysztofa Kolumba, lecz przez nordyckich Wikingów, niczego nie dowodzi — oświadczył podróżnik duński, hrabia Eigil Knuth, który przestudiował omawianą mapę na uniwersytecie w Yale. Według Eigil Knutha jest bardzo prawdopodobne, że „Winlandia" została narysowana na tej mapie na zachód od Grenlandii nie w wyniku konstatacji naocznej (wizji miejscowej) lecz raczej w rezultacie mitu o mitycznym kraju, który miał istnieć jakoby od dawna, a mianowicie, od czasu Fenicjan. W średniowieczu nazywano ten mityczny kraj „Insula Fortunatae", wyspa szczęśliwych. Eigil Knuth skłonny jest mniemać, że Wikingowie niejednokrotnie w swych wyprawach dobijali do Ameryki Północnej, lecz omawiana karta geograficzna nie jest rezultatem tych podróży.

## Notatnik KULTURALNY

**Poniedziałek.** Jak ten czas leci. Niebawem dwieście lat sceny narodowej. Ej, ej... ileż to słów mądrych, szlachetnych, a nawet wieszczych padło ze sceny. A historia sobie, jakby nigdy nic — po swojemu. Po stu siedemdziesięciu czterech latach: hitleryzm w akcji. Po stu osiem dziesięciu: pierwsza bomba atomowa rzucona na ludzi.

Klub Miłośników Teatru przy TPŁ inaugurował sezon dialogiem opartym na autentycznej korespondencji (między filozofem i moralistą Günterem Andersem i majorem Cloudee E. Therly'em, pilotem znad Hiroszimy. „No more Hiroshima". Jak ten czas leci; dwadzieścia lat nowiutkich, spod igły — i po „spektaklu" odbyła się dyskusja poświęcona kontynuowaniu dalszych imprez tego typu, tzn. przekazywaniu uszom ludzkim sugestywnymi ustami aktorów słów mądrych i szlachetnych. Planuje się również prezentację współczesnych propozycji repertuarowych; a wszystko to w Klubie MPiK. Ech... potęga słowa, o którym trzeba pamiętać, mimo że czas leci. A propos: czy nie można „słowem książkowym"? pomóc „Słowu teatralnemu" w jego pięknej walce z ciemnym nurtem historii? Czy nie mogłoby powstać przy TPŁ koło miłośników literatury? Zawszeć to ziarnko do ziarnka...

**Wtorek i środa.** Cisza. Taki czas ogólnego ucisze nia publicznego w kulturze sprzyja zadumie i refleksji domowej. „Dowiedziałem się z prasy, że film polski cierpi na brak scenariuszy". „Prasa donosi, że kryzys scenariuszy zaostrza się". „Kryzys scenariuszy trwa". „Kryzys scenariuszy nie został rozwiązany". „Kryzys scenariuszy polega na „przeczernianiu"." „Kryzys scenariuszy przybiera na sile". „Kryzys scenariuszy szaleje".

Zdruzgotany odłożyłem książkę K. T. Toeplitza pt. „Co ma wisieć nie utonie". Posypałem głowę popiołem i poszedłem do kina. Do „Włókniarza". Przeczytałem, że polski film pt. „Popioły"... Siedziałem. Bardzo długo. W napięciu; nawet powtarzająca się w kółko scena szarży na Somosierrę nie wybiła mnie z napięcia. Wyszedłem z uczuciem historycznego przygnębienia. Przeczytałem uważnie afisz, z którego wynikało, że film został zrealizowany wg. „Popiołów" polskiego pisarza Stefana Żeromskiego. Aha... stąd to przeczernianie.

Inny film polski kończy kręcić wybitny reżyser Jerzy Kawalerowicz wg. „Faraona" niejakiego Bolesława Prusa, również pisarza polskiego. Jest nadzieja, że współpraca „Filmu Polskiego" z literatami zażegna kryzys scenariuszowy w kraju.

**Czwartek.** Wystawa Plastyki Stefana Krygiera została otwarta w lokalu wystawowym przy ul. Piotrkowskiej 102.

Drzewo, oto nasza więź z życiem. „Drzewo pod ręką mistrza ożywa po raz drugi; przybiera narzuconą formę, wyrasta z wizji o nowym (plastycznym) świecie". Stefan Krygier zna naturę drzewa, nadając jej ład kompozycyjny. Krygier rzeźbi drzewo; czasami maluje je i inkrustuje. Łamie opór materii i wtłacza w nią swoją obsesję łuków. Łuki powtarzają się w różnych wariantach; także w malarstwie i także w grafice. Ma to specyficzną wymowę i wyznacza odrębność plastyczną. Szczególnie interesujące są oleje Krygiera... zresztą zobaczcie sami.

**Piątek.** W zdrowym ciele zdrowy duch: oldboye ŁKS rozegrali mecz piłkarski z oldboyami Polonii warszawskiej. W spotkaniu tym wziął udział znany artysta scen warszawskich Marian Łącz, „król główek".

Z ogromną radością należy ten fakt podkreślić, bowiem jest on druzgocącym argumentem w sporze między dwoma odłamami literatów łódzkich. Jedni twierdzą, że sport nie sprzyja twórczości, inni zaś, że sprzyja. Fakty jednak świadczą przeciwko pierwszej frakcji: nie tylko Łącz był piłkarzem, był nim również niżej podpisany oraz znani i powszechnie cenieni pisarze łódzcy: Jan Koprowski (pomoc), Wiesław Jażdżyński (lewy łącznik) oraz Jan Huszcza, który wielokrotnie grywał na beku. Może na również ćwiczyć judo.

**Sobota.** Łódzka Rozgłośnia Polskiego Radia obchodzi jubileusz dwudziestolecia. Łza się w oku kręci. Pamiętamy początki tej zasłużonej placówki kulturalnej. Należy życzyć Szanownej Jubilatce dalszych sukcesów i drugich piętnastu lat przy akompaniamencie: — Jubilatki w Jubilatce — Orkiestry radiowej H. Debicha.

Obyśmy nie dali się zjeść w fonii — tej smarkuli telewizji, która w wizji przyszłości zarysowuje się kolorowo. Tak nam dopomóż Sokorski.

**Niedziela.** Jaki ten świat skomplikowany: niedziela dzień odprężenia, odpoczynku i zabawy, a jutro Wszystkich Świętych, czas smutku i refleksji ostatecznej przed nami, Vanitas vanitatum... Jak tak przelecieć życie wstecz, to aż ciarki po krzyżu lecą.

Większość ludzi ma kogoś bliskiego na cmentarzu — w ziemi. Nie przypominajmy tych, którzy tragicznie odeszli w „czas wielkiej burzy i pożogi". Ale pamiętajmy, że wszyscyśmy grzeszni i wszyscy śmiertelni. Zaduszki są świętem powszechnym, świętem, w pewnym sensie, społecznym — wieczorem morze świateł i wielkie zamyślenie nad życiem w obliczu śmierci przeszłej i śmierci przyszłej. Proszę wybaczyć ten patos. Wszyscyśmy święci wobec ziemi.

D. Żołoda

# POLONICA

### W PISMACH SŁOWACKICH

W wychodzącym w Bratysławie czasopiśmie „Kulturny život" (z 15 października 1965 r.) znajdują się aż trzy polonica: wiersze Juliana Przybosia „Tucholska elegia" i „Oświecim" w przekładzie Pawła Horov, obszerna recenzja z przedstawienia „Tango" Sławomira Mrożka w teatrze warszawskim (nawiasem mówiąc autorka recenzji Halina Ivanickowa cytuje całe fragmenty ze sztuki) i wreszcie rozważania Józefa Lewandowskiego pt. „Historia o kybernetika pokracuje" (Postęp historii i cybernetyki). W innym czasopiśmie bratysławskim „Kulturni tvorba" (15 października 1965 r.) znajdujemy „My śli nieuczesane" St. Jerzego Leca w pięknym tłumaczeniu Borziwoja Krzemenaka.

### AMERYKAŃSKI AUTOR — JERZY KOSIŃSKI

Sensacją w świecie zachodnim stała się powieść amerykańskiego pisarza, polskiego pochodzenia, Jerzego Kosińskiego pt. „The Painted Bird" (Pomalowany ptak). Powieść zaczyna się w sposób następujący: „W pierwszych tygodniach drugiej wojny światowej, jesienią 1939 roku, sześcioletniego chłopca, jak tysiące innych dzieci, wysłali rodzice dla bezpieczeństwa, z dużego miasta w Polsce środkowej do położonej w znacznym oddaleniu małej wioski". Powieść, opowiadająca dzieje wojenne i okupacyjne tego chłopca, zawiera — jak stwierdza krytyka — wiele scen w najwyższym stopniu brutalnych i szokujących, ale też nie pozbawiona jest opisów prawdziwie poetyckich. Jerzy Kosiński mieszka w Stanach Zjednoczonych i pracuje w nowojorskim Columbia University. Niektórzy recenzenci porównują jego książkę do „Kamiennego świata" Tadeusza Borowskiego.

### LITERATURA POLSKA W ESTONII

Pierwsze estońskie przekłady z literatury polskiej pochodzą z roku 1889, kiedy to w ówczesnej gazecie „Skala" zostały opublikowane opowiadania B. Prusa.

Obecnie jednym z najwybitniejszych tłumaczy naszej literatury na język estoński jest Aleksander Kurtne. W okresie swojej dziesięcioletniej pracy, przetłumaczył on 40 książek, wiele sztuk teatralnych oraz 50 słuchowisk radiowych. Tłumaczył Żeromskiego, Newerly'ego, Słowackiego, Brezę, Lema, Kruczkowskiego, Dygata, Brzechwę, Dąbrowską i innych.

A. Kurtne jest wybitnym poliglotą — swobodnie posługuje się 20 językami. W czasie ostatniej wojny był członkiem ruchu oporu, więźniem faszystów włoskich, przebywał w słynnym forcie Bravetta, a wreszcie, po wielu latach, powrócił do Estonii.

W najbliższej przyszłości A. Kurtne zamierza przełożyć „Pana Tadeusza".

(ei)

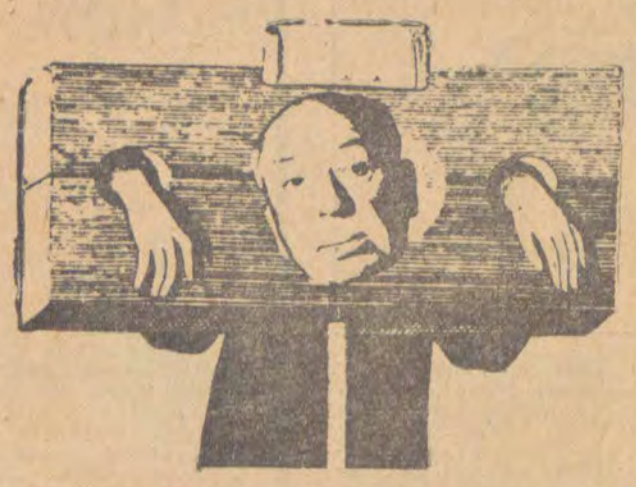

***Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV***

*Alfred Hitchcock*

— Co byś zrobiła, gdybyś wiedziała, że jutro będzie koniec świata?

— Co bym zrobiła? Ty chyba żartujesz.

— Nie.

— Nie wiem. Nie myślałam o tym.

Nalał sobie kawy. W pobliżu na dywanie, przy jasnym zielonkawym świetle lamp obie dziewczynki budowały coś z klocków. W pokoju stołowym, jak zawsze wieczorem było spokojnie i pachniało świeżo zaparzoną kawą.

**RAY BRADBURY**

# JUTRO BĘDZIE KONIEC ŚWIATA

— Najwyższy czas, by o tym pomyśleć — powiedział.

— Mówisz poważnie?

Skinął głową.

— Wojna?

Zaprzeczył.

— Bomba atomowa? Albo wodorowa?

— Nie.

— Wojna bakteriologiczna?

— Ależ nie, nic z tych rzeczy — odparł mieszając łyżeczką kawę. — No, jakby to powiedzieć... nadszedł czas, aby postawić kropkę.

— Nie rozumiem.

— Szczerze mówiąc, ja również nie bardzo wiem o co chodzi; po prostu mam takie przeczucie. Czasem boję się bardzo, a czasem nie czuję lęku i jestem zupełnie spokojny. — Spojrzał na dziewczynki. Ich złote włosy błyszczały w świetle lampy. — Nie mówiłem ci o tym. Było to cztery dni temu.

— Co?

— Śniło mi się że niebawem wszystko się skończy, tak powiedział głos; jakiś zupełnie nieznany, zwykły głos, i on powiedział, że u nas na Ziemi niedługo wszystkiemu przyjdzie kres. Rano prawie zupełnie o tym zapomniałem, poszedłem do pracy, a potem patrzę — Stan Willis w środku dnia stoi sobie w oknie; mówię mu: o czym tak myślisz, Stan? A on odpowiada: miałem dziś sen. Ale nie zdążył jeszcze powiedzieć, a ja już wiedziałem, jaki to był sen. Mógłbym go opowiedzieć, ale Stan zaczął mówić pierwszy, a ja słuchałem.

— Czy był taki jak twój?

— Tak. Powiedziałem mu, że śniło mi się to samo, a on się nie zdziwił i nawet się uspokoił. Potem obeszliśmy całe biuro i to było bardzo dziwne, do diabła. Nie umawialiśmy się, nie mówiliśmy: chodźmy zobaczyć co i jak. Poszliśmy. Patrzymy — jeden ogląda swoje biurko, drugi — ręce, inny z kolei w okno patrzy. Pogadałem trochę. Stan też.

— I wszystkim śniło się to samo?

— Tak.

— Czy wierzysz w ten sen?

— Wierzę. Jeszcze nigdy w życiu niczego nie byłem tak pewien.

— Kiedy to nastąpi? Kiedy wszystko się skończy?

— Dla nas — dziś w nocy, nie wiem o której godzinie, a potem w innych częściach świata, gdy tam zapadnie noc. Przecież Ziemia się obraca. W ciągu doby wszystko się skończy.

Siedzieli w milczeniu, a potem zaczęli pić kawę spoglądając na siebie.

— Czym zasłużyliśmy na to? — spytała.

— Nie o to chodzi, czy zasłużyliśmy, czy też nie. Po prostu nic z tego nie wyszło. Widzę, że nawet nie oponujesz. Dlaczego?

— Chyba jest jakiś powód.

— Ten sam, o którym mogłem przekonać się dziś w biurze?

Powoli skinęła głową.

— Nie chciałam ci mówić. Stało się to dziś w nocy. Wszystkie kobiety w naszej dzielnicy cały dzień o tym mówiły. Im też się to śniło. Myślałam, że to przypadek. — Wzięła ze stołu popołudniową gazetę. — Tu nic nie piszą.

— I tak wszyscy wiedzą.

Wyprostował się, spojrzał badawczo na żonę.

— Boisz się?

— Nie. Kiedy myślałam o tym przedtem, sądziłam, że będę się bała, a tymczasem okazuje się, że to nie jest takie straszne.

— Ciągle mówiono nam o instynkcie samozachowawczym — dlaczego on teraz milczy?

— Nie wiem. Gdy rozumie się zasadę prawidłowości, wtedy nie ma się ochoty na rozdzieranie szat. A to jest prawidłowe. Jeśli pomyśleć w jaki sposób żyliśmy dotychczas, należało się spodziewać, że właśnie tak to się skończy.

— Czy byliśmy tacy źli?

— Nie, ale i nie za dobrzy. Chyba w tym leży całe zło — nic nadzwyczajnego w nas nie było, a niektórzy doprowadzili się do takiego zezwierzęcenia i robili Bóg wie co.

W pokoju śmiały się dziewczynki.

— Wydało mi się, że jeśli przyjdzie ta chwila — wszyscy z krzykiem wybiegną na ulicę.

— Moim zdaniem nie ma potrzeby krzyczeć, jeśli nie jesteśmy w stanie niczego zmienić.

— Wiesz, żal mi tylko rozstawać się z tobą i z dziewczynkami. Nigdy nie lubiłem swojej pracy i miejskiego życia, w ogóle niczego nie lubiłem oprócz was. Nie żałuję niczego, chciałbym tylko zobaczyć jeden słoneczny dzień, wypić łyk zimnej wody w czasie upału i zasnąć. Dziwne, że możemy tak siedzieć i mówić o tym, prawda?

— I tak na to nie mamy żadnego wpływu.

— Masz rację. Gdyby było można, coś byśmy z tym zrobili. Wydaje mi się, że jest to pierwszy wypadek w historii — wszyscy wiedzą, co się z nimi w nocy stanie.

— Ciekawe co teraz będą robili inni ludzie, teraz i w ciągu najbliższych godzin.

— Pójdą do kina, będą słuchali radia, oglądali telewizję, ułożą dzieci do snu i sami położą się spać — tak jak zawsze.

— Chyba możemy być z tego dumni — że tak jak zawsze.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a potem on nalał sobie kawy.

— Jak myślisz, dlaczego właśnie dzisiaj?

— Dlatego.

— A dlaczego nie w inny dzień, w ubiegłym stuleciu, albo pięćset lat temu, albo tysiąc?

— Może dlatego, że jeszcze nigdy nie było takiego dnia — dziewiętnastego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, a teraz on jest; bo tego roku wszystko na świecie jest właśnie tak, a nie inaczej — i dlatego nastał koniec.

— Dziś po obu stronach oceanu stoją bombowce gotowe do startu, ale one nigdy już nie wylądują.

— Częściowo chyba i dlatego.

— No cóż, — powiedział wstając. — Co robimy? Zmyjemy naczynia?

Pozmywali naczynia i staranniej niż zwykle pochowali je. Około dziewiątej ułożyli do snu dzieci i pocałowali je na dobranoc, zapalili przy łóżkach nocne lampki i wyszli, zostawiając nie domknięte drzwi sypialni.

— Nie wiem... powiedział mąż wychodząc, obejrzał się i przystanął z fajką w ręku.

— Co się stało?

— Zamknąć drzwi, czy zostawić szparę, żeby było jaśniej...

— A może dzieci wiedzą?

— Nie, oczywiście, że nie.

Siedzieli i czytali gazety, rozmawiali, przez radio słuchali muzyki, a potem po prostu siedzieli przy kominku patrząc na rozpalone węgle, i zegar wybił pół do jedenastej, potem jedenastą, wreszcie pół do dwunastej. Zaczęli myśleć o ludziach całego świata, o tym kto i jak spędza ten ostatni wieczór — każdy po swojemu.

— No cóż — powiedział. Objął żonę i pocałował ją.

— Było nam dobrze razem.

— Czy nie chce ci się płakać? — spytał.

— Wyobraź sobie, że nie.

W całym domu zgasili światło. Weszli do sypialni, po ciemku się rozebrali i odrzucili kołdry.

— Jak przyjemnie, prześcieradła są takie świeże.

— Jestem zmęczona.

— Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

Położyli się.

— Zaczekaj — powiedziała.

Słyszał jak wstaje i wychodzi do kuchni. Wróciła po chwili.

— Zapomniałam dobrze zakręcić kran.

Było w tym coś zabawnego. Mimo woli zaśmiał się.

Ona też się roześmiała. — to naprawdę było śmieszne! Potem przestali się śmiać i leżeli tuż obok siebie w trochę chłodnych jeszcze łóżkach, trzymając się za ręce.

— Dobranoc — wyszeptał.

— Dobranoc.

Tłumaczył:
**ROMAN GORZELSKI**

*Z Wystawy Czterech. Benon Liberski — Western. (Olej).*

# SPEKTAKLE tygodnia

**FILM**

| | | widzów |
|---|---|---|
| **POLONIA** | | |
| **WISŁA** | „Przybycie tytanów", 20 seansów | 10.018 — 65% |
| | „Kobieta z wydm", 30 seansów | 5.779 — 40% |

**TEATR**

| | | |
|---|---|---|
| **NOWY** | | |
| | „Lato w Nohant", 2 spektakle | 1400 — 100% |
| | „Życie Galileusza", 2 spektakle | 600 — 45% |
| | „Bliźniaki z Wenecji", 2 spektakle | 1200 — 80% |
| **NOWY** Mała Sala | | |
| | „Lato w Nohant", 2 spektakle | 400 — 100% |
| | „Drewniana miska", 1 spektakl | 200 — 100% |
| **POWSZECHNY** | | |
| | „Dziady", 1 spektakl | 650 — 99% |
| | „Dom otwarty" — 2 spektakle | 1320 — 99% |
| **JARACZA** | | |
| | „Kaligula", 2 spektakle | 1350 — 98% |
| **OPERA** | | |
| | „Fra diavolo" — 1 spektakl | 580 — 90% |
| | „Legenda Bałtyku", 1 spektakl | 568 — 80% |
| **OPERETKA** | | |
| 7.15 | „Piękna Helena", 6 spektakli | 5059 — 92% |
| | „Szkoda wąsów", 4 spektakle | 869 — 50% |
| **ESTRADA** | | |
| | 3 koncerty | 1452 słuchaczy — 60% |

Uwaga: Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

## *Lewym okiem*

*GDZIE JESTEŚMY, GDY NAS NIE MA?*

*Prowadzenie domu, zwykłego rodzinnego gospodarstwa w dwóch pokojach z kuchnią, z dwojgiem dzieci, radiem i telewizorem, to również sui generis przedsiębiorstwo. Skala może i nieduża, ale skomplikowanych zagadnień mnóstwo, a przy tym chodzi przecież o sprawy najbardziej bezpośrednie, bytowe, te, które kształtują świadomość.*

*Stopień skomplikowania owych zagadnień, nieprzeczuwany nawet w przybliżeniu przez niefachowców, to znaczy przez osoby samotne i kładące z góry krzyżyk na wszystko, co samo nie paha się do rąk, rośnie w tempie huraganowym. Byle głupstwo... przepraszam, nie ma już byle głupstw. Wystarczy naprawa zlewu. Nie, wcale nie w domu. U sąsiadów, piętro wyżej. Tam się zepsuło, ale ktoś z nas musi być w mieszkaniu, bo może trzeba będzie coś podkręcić, dokręcić lub zatkać. Dzieci w szkole, matka w pracy, ojciec w pracy. Nie ma rady — któreś z rodziców musi się zwolnić, hydraulik albo przyjdzie do sąsiadów przed południem, albo wcale. Po tygodniu może się zjawi, przez ten tydzień ojca nie ma w biurze.*

*Dzieciaka kazali prześwietlić. Matka chodzi pięć razy do różnych przychodni, każda okazuje się nie ta, albo inna godzina, albo aparat się zepsuł, albo pani doktor nie przyszła. Każda informacja przeczy poprzedniej, każdą rzuca się ze złością, przez ramię, z bardzo wysoka. Normalna praca w fabryce czy w sklepie to fraszka wobec takiej gonitwy z dzieciakiem, wyczekiwania po przedpokojach, wysłuchiwania jadowitych uwag Wysokich Woźnych i Dostojnych Rejestratorek. Wreszcie gdzieś, ktoś przytyknie aparatem i każe się zgłosić po wynik. Najlepiej byłoby — gdyby to było możliwe — iść od razu trzeci raz. Za pierwszym razem nigdy wyniku się przecież nie otrzymuje. W sumie osiem zmarnowanych dni pracy matki i dziecka, nie mówiąc o tym, że lekarka szkolna albo wcale na wynik nie spojrzy, albo rzuci okiem i powie: co oni tu zrobili, przecież to niemożliwe, cóż za bzdura! Jeszcze raz!*

*Inkasent z elektrowni nikogo nie zastał w domu. To jasne — prawie nigdy nie zastanie, przecież pracujemy, dzieci też. Więc co najmniej pół dnia pracy zmarnowane na wizytę w kasie.*

*Żona wróciła z urlopu i stwierdza, że nie otrzymała pieniędzy, wysłanych jej przekazem przez męża. Interwencje na poczcie, obrażonej śmiertelnie za podobne insynuacje, to minimum kilka razy po dwie — trzy godziny nieobecności w pracy. Nie to okienko, nie ta godzina, — „widzi pan, że nie odpowiadają, a powinni już odpowiedzieć"...*

*Spółdzielnia krawiecka wyznaczyła przymiarkę. Palto trzeba czasem kupić, garnitur czy sukienkę również. Spółdzielnia to też ludzie pracy, nie mogą mierzyć wszystkich po fajrancie. Najgorsze jednak, że przymiarka nigdy nie jest gotowa w terminie; jestem gotów bić się na szpady z każdym, kto twierdzi inaczej. Pięć razy po pół dnia absencji. Za piątym razem uśmiechnięty krawiec dokonuje w obecności klienta, na poczekaniu, poprawki, której nie zdążył zrobić przez dwa miesiące odkładanych terminów.*

*Miałem kiedyś pecha być powołanym na świadka w sprawie błahego wypadku komunikacyjnego. Sprawa była odraczana osiem razy! Albo nie przyszedł obrońca, albo ktoś ze świadków, albo przyszedł obrońca inny i wcale nie wiedział o co chodzi, albo zadał pytanie, po którym trzeba było prosić nowych świadków. Za każdym razem czekaliśmy dwie godziny w kuluarach, a właściwa wizyta w pokoju sądowym trwała minutę — ledwie że sprawdzono personalia. Osiem absencji w biurze, podczas których być może przychodzili do mnie interesanci i odchodzili z kwitkiem, klnąc na czym świat stoi. Szli do mnie, opuszczając swoje miejsca pracy, gdzie znów liczyli na nich inni klienci, niezałatwieni w porę. Otóż i macie kołowrót, spraw niezawodowych, a kradnących godziny przeznaczone na pracę zawodową. Czym wyższy poziom człowiek nadaje swemu życiu osobistemu, tym spraw takich ma oczywiście więcej. Czyli: czym porządniej chce żyć, tym mniej porządnie pracuje. I biada mu, frajerowi, jeśli się tym przejmuje. Nie ma przecież żadnej rady. Jeśli mamy płacić za elektryczność, prześwietlać dzieci, szyć ubrania, zbierać różne podpisy i zaświadczenia, świadczyć w sądach, leczyć zęby, remontować mieszkania — absencja w pracy musi być!*

*ĆWIEK*

**Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam. 2917. XI.65. N-3**